Nr. 12 Rok 5 Kraków, dnia 19 marca 1944. 40 gr.

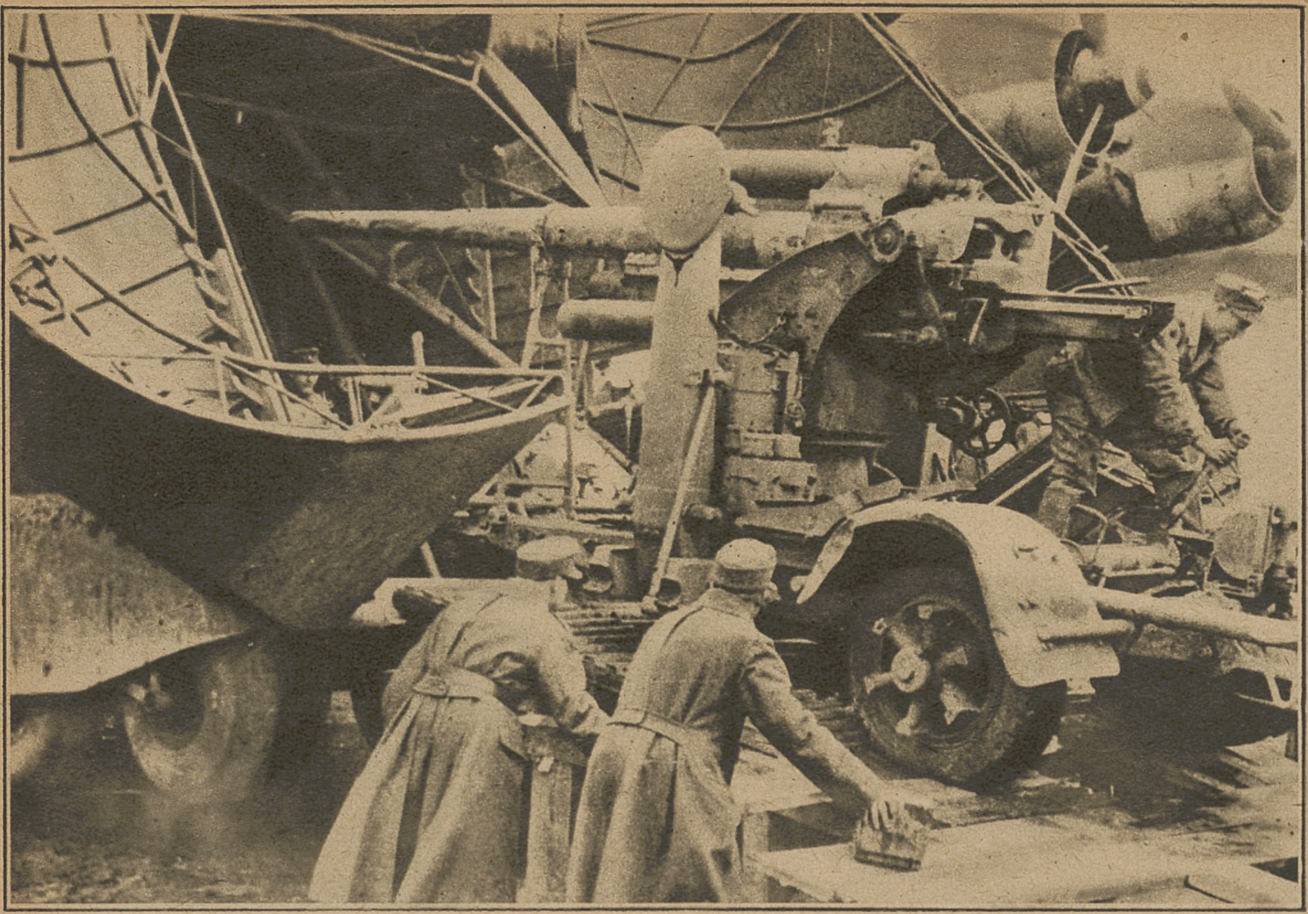
Il... ...zany

...OLSKI



PRZEBUDZENIE WIOSNY

...ot. Kiss-Tarno...





Powyżej:
Wielki niemiecki transportowiec „Gigant” przywiózł zaopatrzenie na front. Żołnierze wyładowują działo ciężkiego kalibru.

Powyżej na prawo:
Mechanicy bardzo starannie przeglądają niemiecką łódź podwodną w czasie jej pobytu w porcie i przysposabiają do przyszłej jazdy. Niezwykle gruntownej kontroli poddaje się propeller.

TYGODNIK WOJENNY

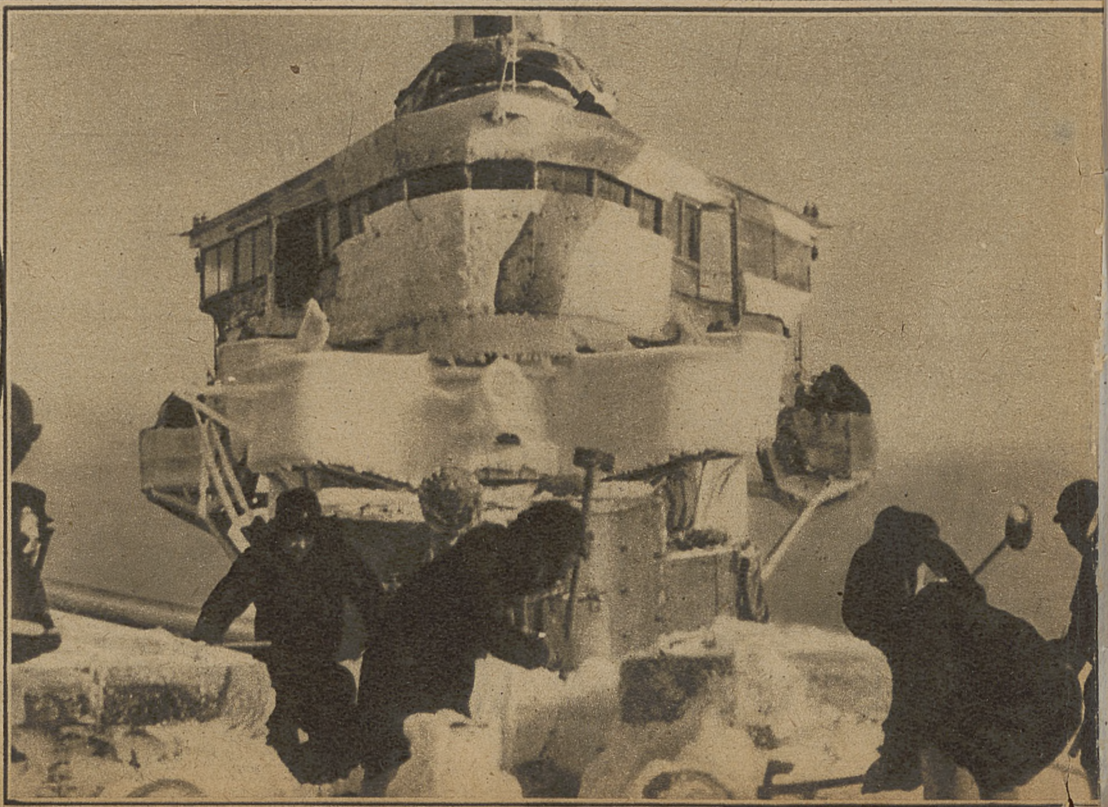
Na prawo:
Ciężki czołg niemiecki „Hummel” w drodze na front wschodni.

Poniżej na prawo:
Japoński okręt wojenny na północnym Pacyfiku. W chwilach wolnych od walk załoga usuwa lód z pokładu.

Poniżej:
Niemiecki zwiadowca w lesie na północnym odcinku frontu wschodniego.





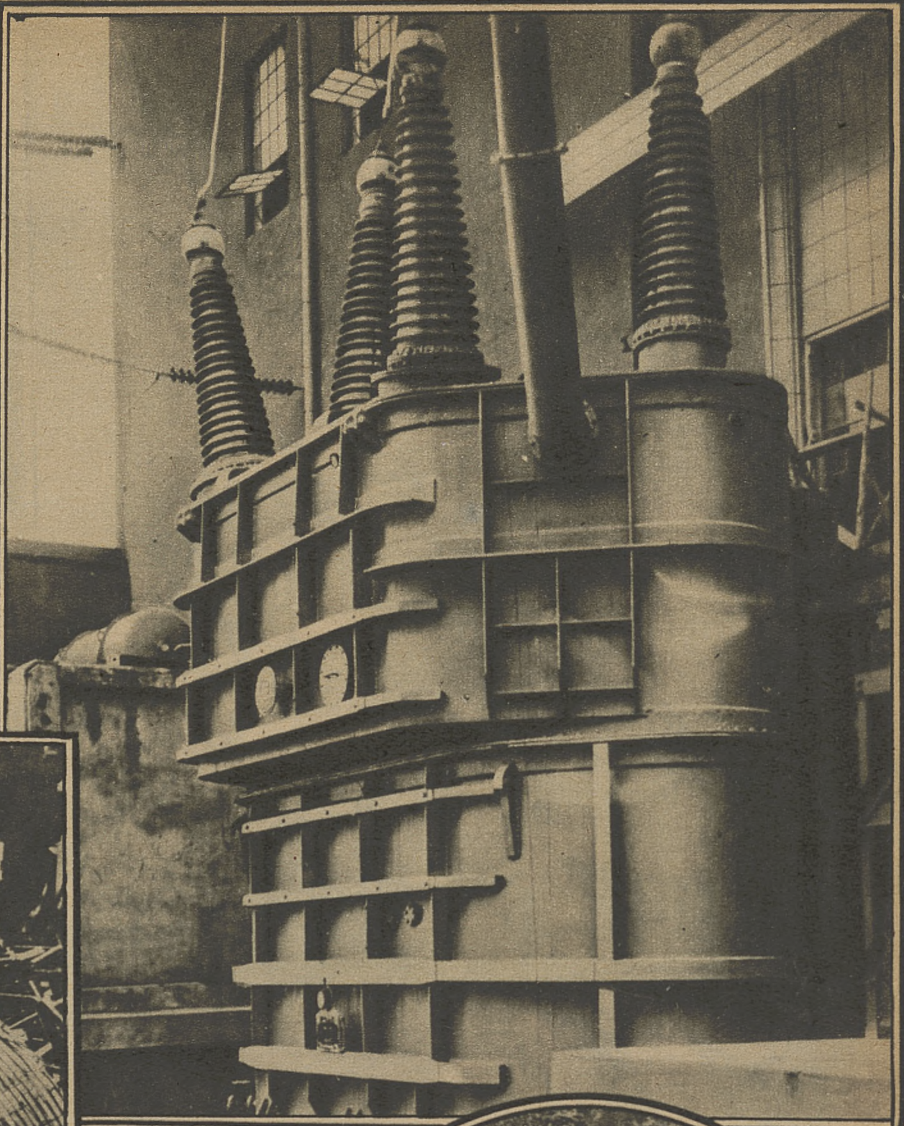


Fot: PK. Kaiser - Eu., Darner - Atl., Janz-PBZ., Haring-Sch., Transozean

Suiho Zapora wodna



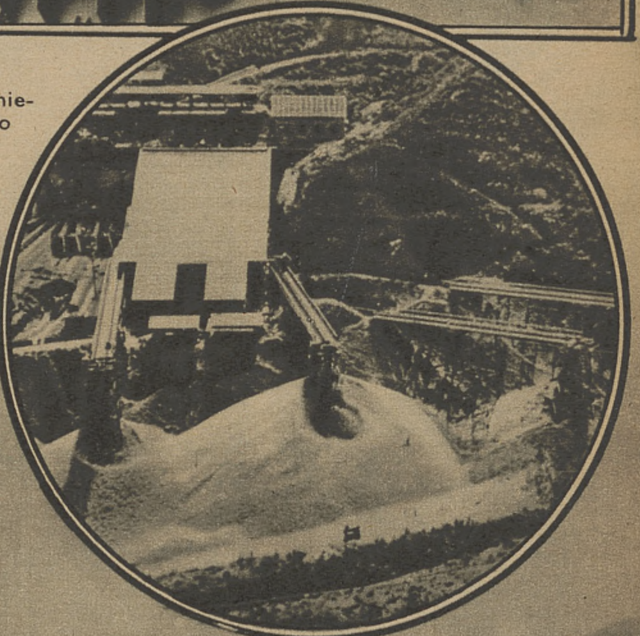
Na lewo:
Widok rzeki Jalu przed rozpoczęciem budowy, dziś już ukończonej, tamy. Jak widzimy na zdjęciu rzeka ta była tylko drogą transportową dla małych dżonek chińskich — a poza tym nie miała żadnego handlowego ani komunikacyjnego znaczenia.



Na prawo:
Jeden z olbrzymich transformatorów energii na tamie-Suiho.

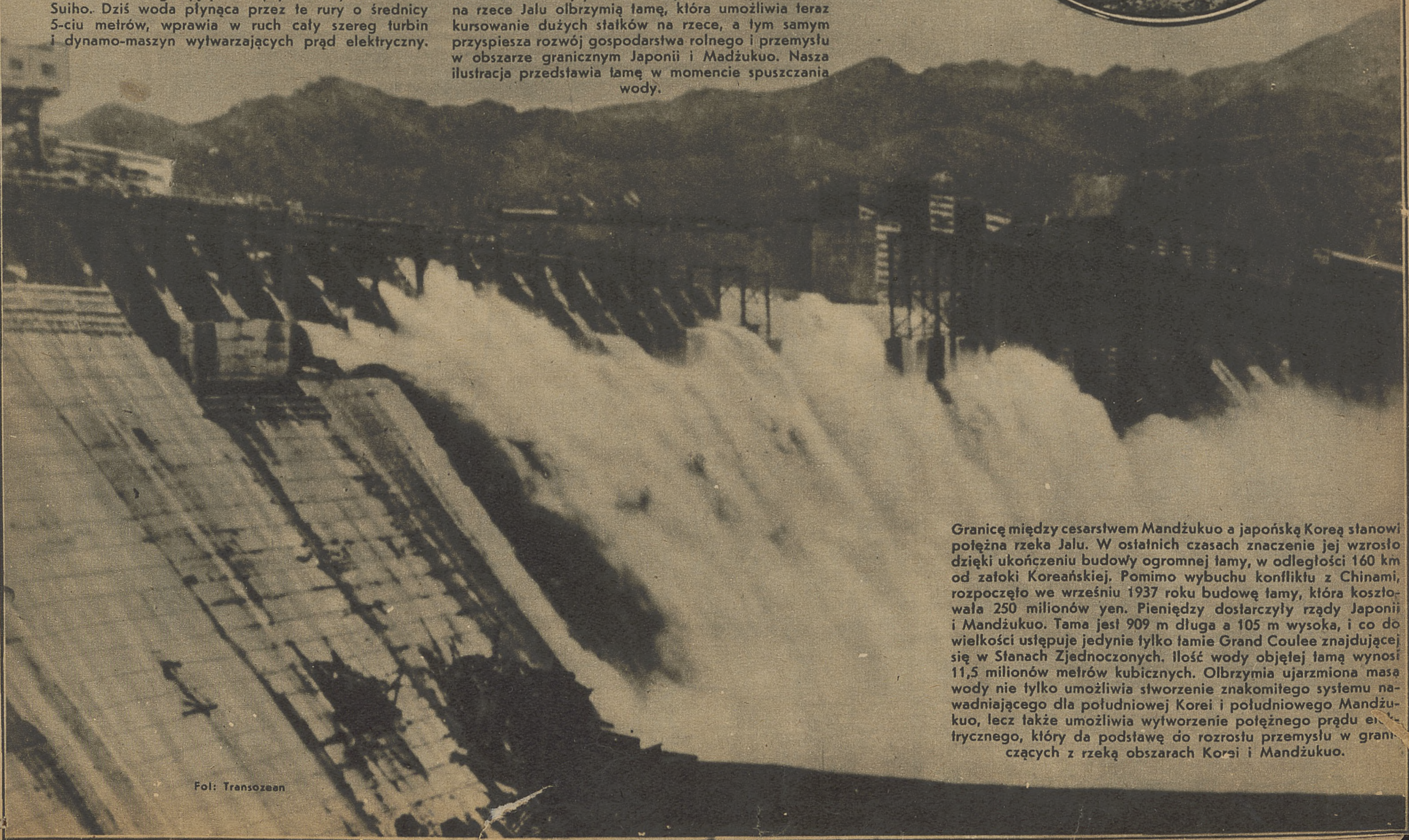


Powyżej:
Budowa rur regulujących dopływ wody na tamie-Suiho. Dziś woda płynąca przez te rury o średnicy 5-ciu metrów, wprawia w ruch cały szereg turbin i dynamo-maszyn wytwarzających prąd elektryczny.



Na prawo:
Do produkcji niezbędnego do budowy tamy cementu wystawiono na brzegu rzeki wielką fabrykę cementu. Wybudowana tama pochłonęła 750.000 metrów kubicznych cementu.

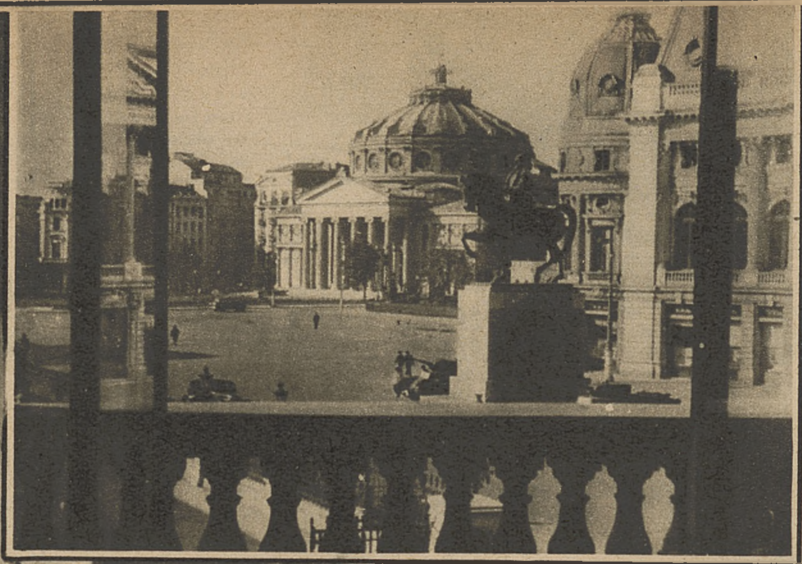
Poniżej:
Pod kierunkiem japońskich inżynierów wybudowano na rzece Jalu olbrzymią tamę, która umożliwia teraz kursowanie dużych statków na rzece, a tym samym przyspiesza rozwój gospodarstwa rolnego i przemysłu w obszarze granicznym Japonii i Madżukuo. Nasza ilustracja przedstawia tamę w momencie spuszczania wody.



Fot: Transozean

Granicę między cesarstwem Mandżukuo a japońską Koreą stanowi potężna rzeka Jalu. W ostatnich czasach znaczenie jej wzrosło dzięki ukończeniu budowy ogromnej tamy, w odległości 160 km od zatoki Koreańskiej. Pomimo wybuchu konfliktu z Chinami, rozpoczęło we wrześniu 1937 roku budowę tamy, która kosztowała 250 milionów yen. Pieniędzy dostarczyły rządy Japonii i Mandżukuo. Tama jest 909 m długa a 105 m wysoka, i co do wielkości ustępuje jedynie tylko tamie Grand Coulee znajdującej się w Stanach Zjednoczonych. Ilość wody objętej tamą wynosi 11,5 milionów metrów kubicznych. Olbrzymia ujarzmiona masa wody nie tylko umożliwia stworzenie znakomitego systemu nawadniającego dla południowej Korei i południowego Mandżukuo, lecz także umożliwia wytworzenie potężnego prądu elektrycznego, który da podstawę do rozrostu przemysłu w graniczących z rzeką obszarach Korei i Mandżukuo.





Na lewo:

W SERCU BUKARESZTU

Widok z pałacu królewskiego na pomnik Karola I i wspaniałą budowlę Atheneum daje pojęcie o malowniczym i majestatycznym pięknie teraźniejszego Bukaresztu. „Miasto Europy Zachodu" — oto mimowolna refleksja zwiedzającego tę część stolicy Rumunii, — chociaż tak blisko Wschodu położone.

Na prawo:

KONIA Z RZĘDEM TEMU, KTO WIE — CO TO JEST!

Ufne w swą ważność i pożyteczność swego zawodu tzw. „chiwutze", kobiety wynajmujące się do bielenia domów. Ze szczotkami na wysokich tyczkach siedzą na placu targowym niby pod antenami i czekają na zaangażowanie ich do pracy.

Płynąc w górę rzeki Dimbowicy, lewego dopływu Dunaju, wśród jednostajnej lecz bardzo urodzajnej niziny wołoskiej napotykamy stolicę Rumunii Bukareszt, ważny węzeł kolejowy, połączony z portami Warną i Konstancą nad Morzem Czarnym. Rozrzucony na ogromnej przestrzeni przeszło 50 km^2, znajduje się Bukareszt wciąż jeszcze w stadium przejściowym od miasta prowincjonalnego o charakterze wschodnim do nowoczesnej europejskiej stolicy z szerokimi bulwarami, wielopiętrowymi budowlami i pokaźnymi gmachami, by wymienić tylko zamek królewski, uniwersytet, muzea. Rozwinięty dość znacznie ostatnio przemysł młynarski, metalurgiczno-maszynowy i włókienniczy, przydał miastu wyraz ośrodka fabrycznego ze swym swoistym wyglądem strzelających ku niebu kominów i osiedli robotniczych.

Do miast omijanych przez klęski żywiołowe Bukareszt nie należy niestety. Trzęsienia ziemi, jak pamiętne dwa między latami 1793 do 1812, wylewy, dżuma i pożary — oto smutne karty dziejów miasta w księdze jego przeszłości. W dniach owych był Bukareszt miastem ogrodów, pozostając takim właściwie do niedawna jeszcze, a zamożność kraju uwidoczniła się w malowniczym mnóstwie bojarskich domów, niby pałacyków o wspaniałych częstokroć portalach, z uroczymi parkami wokoło. Dzisiaj naturalnie nikną one na tle olbrzymich wielopiętrowych bloków mieszkalnych, czają się jakby przy ziemi przytłoczone ogromem nowoczesności. Atoli tu i tam, niby maleńskie wysepki w wieńcu zieleni, mile wabią oko znużone ulicznym ruchem — a każą biec myśli ku minionym czasom, gdy świeży powiew dalekich pól i kwietnych niw niósł się na skrzydłach wietrzyku z poszumem morskiej fali nad Wołoszczyzną.

Zwróćmy swe kroki ku sercu miasta, kędy wznosi się pałac królewski

Na lewo:

„WIZYTÓWKA WIELKIEGO MIASTA"

W świetnie skrojonym mundurze zdobnym w białe sznury, prezentujący się „non plus ultra" posterunkowy ruchu w stolicy Rumunii, „urzęduje" z pomocą świstawki. Na jej odgłos zamiera lub budzi się warkot motorów mechanicznych pojazdów, zatrzymują się lub ruszają z miejsca falangi przechodniów. Wygalowany „stróż bezpieczeństwa publicznego", to prawdziwa „wizytówka wielkiego miasta" czuwa nad życiem ulicznym Bukaresztu, jak tylu jego kolegów w świecie . . .



Na lewo:

CIERPLIWOŚĆ JEST CNOTĄ...

W pierwszorzędnym salonie fryzjerskim w Bukareszcie cierpliwe klijentki „schną" pod aparatami. Wielkomiejskie życie wymaga tego i owego... któżby o tym nie wiedział?

Na prawo: **W CENTRALNYM PUNKCIE BUKARESZTU**

Oto „środek" miasta i zarazem wyjściowy punkt obliczeń geograficznych dla pomiarów odległościowych w Rumunii, uzmysłowiony przedstawieniem znaków zodiaku opasujących pierścieniem owo „centrum" jedyne w swym rodzaju.





Na lewo:

WSCHODNIE MOTYWY W WYGLĄDZIE MIASTA

Ulica kramów z towarami bławatnymi i włókienniczymi.

BUKARESZT - MIAST







Eurafot



Powyżej:

GDY KUKURYDZA WŚRÓD BULWARÓW WZRASTA...

Jakby w dotkniętym już prądami „Zachodu" mieście słonecznych wysp archipelagu Oceanii złocą się w promieniach świtu i zorzach zmierzchu wysoko wyrosłe łodygi kukurydzy, przez liścień której przezierają wielkomiejskie drapacze Bukaresztu... Czyż nie bajeczny kontrast w symfonii barw i kształtów nowoczesnej stolicy?

Na prawo u góry:

W C Z O R A J I D Z I Ś...

Nowoczesny wielopiętrowy gmach obok niziutkiego domku, pamiętającego przeszłe dzieje, to tak bardzo charakterystyczne dla współczesnego Bukaresztu zestawienie dwóch epok: końca XIX i dynamiki XX wieku.

z przepięknym pomnikiem Karola I, dumnie i majestatycznie odcinającym się na tle Atheneum, narodowego sanktuarium dorobku wiedzy i kultury. Minęło z górą 60 lat od chwili, gdy na skroniach dzielnego księcia spoczęła korona rumuńska. Od tego czasu jakże wiele zmieniło się w starym Bukareszcie! Był to rok 1881. Kluczowa pozycja miasta na południo-wschodzie i przyciągająca moc skarbów ziemnych kraju uczyniły z Bukaresztu środowisko o znaczeniu światowym.

Z tą chwilą rozpoczął się niebywały rozrost Bukaresztu, kosztem, oczywiście, dawnego jego sielskiego wyglądu. I rzecz ciekawa, nie tyle budzą ciekawość style budowlane co formy architektoniczne, zgrupowane tak jakoś nieoczekiwanie właśnie w Bukareszcie obok siebie. Drapacze chmur — obok maleńskich parterowych domków, żelbetonowe kolosy — wysterczające wyzywająco ku błękitowi z labiryntu starych, wąskich nieraz ulic, o mieszczańskich kamieniczkach z kiwającymi się na wietrze uchwytami od dzwonków, odzywającymi się żałosnym pojękiem gdzieś w głębi długiej sieni, gdy niecierpliwy przechodzień czy zapóźniony domownik nagle szarpnie za taki przestarzały przyrząd sygnalizacyjny. Parę kroków dalej przystajemy zdumieni: oto piękne imitacje klasycznych i bizantyjskich stylów, muzeum Simu i Hotel Ambasador przy Boulevard Tache Jonescu. — Spójrzmy na Bukareszt pod kątem jego wschodnich właściwości. Nalot ów, tak bardzo dominujący w mieście jeszcze kilka lat temu, powoli ale stale zanika. Zanika z nim razem, to prawda, ów polor romantyzmu, tak właściwy dawnej stolicy rumuńskiej, bo wąziutkie zaułki i kramy przy nich są wyrugowywane systematycznie a w ich miejsce buduje się szerokie bulwary z nowoczesnymi sklepami, spoglądającymi wielkimi oczami wystaw na gładko wyasfaltowane jezdnie. Egzotycznego posmaku dodają miastu skrzętnie uprawione i obsiane w obecnym czasie działki ogrodowe na terenie stolicy, powstałe z użytkowania pod jarzyny





Na lewo w kole:

T U M O Ż N A S I Ę O WSZYSTKIM DOWIEDZIEĆ!

Uliczny kiosk w Bukareszcie — to istne biuro informacyjno-prasowe. Mnogość wydawnictw wystawionych do wyboru publiczności daje z samych już choćby nagłówków pism możność niezłego zorientowania się w ostatnich wydarzeniach i nowościach chwili. Dobry on wymaga wszakże bodaj jedno kupić...

i warzywa wszelkich niezabudowanych placów, parcel itp. W obliczu monumentalnych budowli sielsko wyglądający ogródek z darami natury, jakiż to oryginalny obrazek na bruku wielkiego miasta! — Ciekawie ogromnie przedstawia się współczesny Bukareszt jeżeli już nie „z lotu ptaka", to w każdym razie oglądany z wysokości tarasu któregoś z wielopiętrowych gmachów. Niby liliputy zdają się pełzać przy samej ziemi starodawne domki i wille pośród olbrzymów budowlanych naszych czasów, a kalejdoskopowy obraz ten wwierca się bardziej jeszcze w źrenicę skutkiem ruchu komunikacyjnego, widzianego z góry.

O KONTRASTÓW

WSZYSTKO NA ZAWOŁANIE!

Uliczny i domokrążny przekupień rumuński niosący towar w oryginalny sposób na drążku z uwieszonymi doń koszykami. Wiejskie wynalazki „woziwodów" nawet w wielkich miastach znajdują czasem zastosowanie, jak właśnie widzimy.

W DALEKĄ PODRÓŻ...

Tybet! Kraina tysiąca tajemnic, zazdrośnie strzeżona przed okiem profana... I właśnie tam musiał kiedyś, dawno już chyba, urodzić się i rozmnożyć nasz niedźwiadek — panda. Żywot jego jest jednym pasmem przyjemności... Nie tropiony przez człowieka, za pan brat prawie z wszystkimi mieszkańcami gór, obgryza sobie od rana do nocy pędy młodych drzew, próbuje smaku różnorodnych krzewów, grzebie z pomrukiem zadowolenia z siebie i całego świata za korzonkami roślin, wywąchuje miodowe barcie, rozkoszuje się owocami, jada chętnie owady, szczególnie przepadając za pewnym gatunkiem himalajskich mrówek które łowi pomysłowo i zabawnie. Zima bywa dla niedźwiadka okresem zahamowania życiowego rozpędu, chrapie melodyjnie w jakiejś pieczarze aż do pierwszych powiewów wiosny tybetańskiej. Jeżeli miś ma honor być „żonatym", czekają go teraz trudy rodzicielskie, bo młode właśnie o tej porze na świat przychodzą. Poszukiwania za trzciną bambusową stoją teraz na pierwszym planie, bo sam przepada za nią, a potomstwa niemal nie sposób odchować bez tego osobliwego smakołyku. Miś zaczyna plądrować po uprawnych polach międzygórskich wsi i osad i tutaj to pada bardzo często ofiarą tybetańskich myśliwych, mających „zamówienia" na żywego dobrodzieja lub na jego futerko. Złapany żywcem, w paści lub dół zapadnią — „denerwuje" się niedźwiadek mocno, lecz bardzo prędko tłumaczy sobie, że „szkoda zdrowia", bo nic nie wskóra a zyskać może na lojalnym ustosunkowaniu się do ludzi. Aż wreszcie misio wsadzony do klatki żegna raz na zawsze rodzinne swe strony, udając się nolens-volens w daleką podróż.

Na prawo:
PRZEKONAĆ SIĘ RAZ JESZCZE — NIE SZKODZI...
Niedźwiadek panda właśnie ocknął się z miłej popołudniowej chrapanki i pierwszym odruchem jego dostojnej osoby było „obmacywanie" skrzyń, w których zazwyczaj nadchodzi pocięty w pręty bambus ulubiony frykas misia.





Na prawo w kole:
TOŻ DOPIERO PRAWDZIWY RAJ!
Aż się misiowi „uszy trzęsą", tak łakomie zajada się apetyczną trzciną bambusową, rosnącą gąszczami w jego tybetańskiej ojczyźnie. Czy w tym momencie nawet przez myśl przeleci smakoszowi pytanie, jak to będzie, gdy... gdy .. go przypadkiem złapią i umieszczą w zoo?



Na prawo:
UCZTA METODĄ RZYMSKĄ...
Dlaczegóż by jeno starożytna Roma miała prawo spoczywać wśród uczt na wygodnych szezlągach i sofach! Miś panda tenże sam zwyczaj dawnej epoki wprowadza w czyn, opychając się jakimś już 15-tym kilogramem bambusowego specjału...



Na lewo:
MOŻE TEN ŁAŃCUCH JUŻ NIE POTRZEBNY!
Zapatrzony w swe „danie", ani śni miś o jakiejś ekstrawagancji w rodzaju ucieczki, napastowania kogoś, czy coś w tym guście. Ale, że „strzeżonego Pan Bóg strzeże", lepiej niedźwiadka potrzymać jeszcze czas jakiś na uwięzi, nim nabierze wielkoświatowych manier i zżyje się idealnie z otoczeniem...

Poniżej:
POWOLUTKU! JESZCZE NIE WYLIZAŁEM DO DNA!
Sapanie pana misia jest niewątpliwie oznaką pokazującego się dna miski. Trudno jednak zabrać naczynie łakomczuchowi wpierw, nim go dokładnie „na glanc" nie objedzie językiem i nie obwącha na ostatek skwapliwie. Właściwie — ma dość, a jednak, hm — może by jeszcze trochę zmieściło się...

Fot. Witzleben



— Otóż wciągnęliśmy was w nasze dziedziny w tym celu — ciągnął dalej Mag Zła — abyście po zapoznaniu się z naszą wiedzą — udali się do „Azylu Białych Jogów" i tam — skierował swe płonące oczy na Roberta — pan Ralfsonie ma opętać serce i duszę Władczyni ich krainy Eloe i naturalnie porwać ją do nas. Dla wytłumaczenia dodam, że są to w możności uczynić jedynie ludzkie istoty, ponieważ zaś pan, Ralfsonie jest dobrym medium a zarazem człowiekiem odważnym i przedsiębiorczym, przeto panu powierzamy ową ważką misję...

Twoim zaś zadaniem profesorze, będzie po opuszczeniu „Miasta Szatana" sianie idei destrukcyjnych w kołach młodzieży i przyciąganie jej na naszą stronę.

Gren uniósł ciężkie powieki.

— Po raz setny zło! — pomyślał leniwie — no! trudno! trzeba i z tym się pogodzić!

— Skończyłem! — rzekł mnich, i w tej sekundzie na jego miejscu pojawiła się bujnych kształtów rudowłosa kobieta.

— Polecimy zaraz naszymi aerostatami do „Azylu Rozkoszy" . . .

Przed „Klasztorem" na gładkiej tafli wody leżał podobny do rakiety międzyplanetarnej aparat.

Wsiedli do luksusowo urządzonej kabiny.

— Pragnę was jedynie ostrzedz — mówiła rudowłosa — że maszyna ta rozwinie szybkość myśli!

— Szybkość myśli? — powtórzył machinalnie Gren — ciekawy jestem ile to wynosi w km/sek? — monologował rozglądając się po satianowych, wytłaczanych obiciach wytwornej kabiny.

Rudowłosa zajęła miejsce przy dziwacznych kształtów miernikach i dźwigniach.

— Więc! — przycisnęła stopą starter.

Robert przysunął się do szyby, ale za oknami ujrzał tylko czarną nieprzebitą zasłonę nocy, na tle której wybuchały co ułamek sekundy rażąco jaskrawe błyskawice wyładowań, które układały się później w wirujące koliska, linie, elipsoidy.

— Znajdujemy się obecnie, panie Robercie — ciągnęła rudowłosa — w I-szej sferze nieskoordynowanych fluidów myśli ludzkiej.

Tuż za szybą rozpaliła się żarząca raca zielonego światła i zgasła. Ale bolid zniżał już lot, by wreszcie wylądować na płaskiej jak stół połaci.

Gdy Robert Ralfson wyskoczył z kabiny, pierwsze, co zrobił — to sięgnął po filmową kamerę. Bo też wokół niego działy się cuda! Pokryte niewidzianej wielkości, tęczowymi barwami mieniącymi drzewami przestrzenie, lśniły od rozjarzeń feerycznych świateł. Przewspaniałe, szerokie, rozłożyste o soczystej zieleni palmy, płomieniały całe brylantowymi ogniami, u stóp ich ogromne, kilkumetrowej średnicy kielichy kwiatów wybuchały raz po raz rakietami to liliowych, to lazurowych blasków. Ukryte wśród nich posągi, skrzące się migotliwością szafirów fontanny, kunsztownymi brązowymi płaskorzeźbami pokryte altany, nad którymi zwisały pnącze turkusowych lian. A po ścieżkach owego czarodziejskiego ogrodu snuły się otulone w purpurowo-czarne tkaniny i przejrzyste koronki o krągłych kształtach kobiety. I tylko oczy ich ciemne, przepastne niby granaty nocy, czy przesycone wewnętrznym światłem jak górskie kryształy taiły w swych otchłaniach stłumione ognie pożądań.

Jedna z nich złotowłosa czarcia piękność niczym kotka przytuliła się do Grena; Profesor odskoczył jak oparzony:

— Przepraszam panią, przepraszam ale jeszcze nie zdążyłem się przedstawić! Gren jestem! Doktor nauk okultystycznych!

— Słodki! Mój! — szeptała namiętnie, tuląc się doń gorąco — chodź! Oddamy się rozkoszy.

— Kiedy . . . kiedy ja, proszę pani . . . jestem stary . . .

Wyjęła ze złotego etui mikroskopijną strzykawkę.

— Parę milimetrów sześciennych tego płynu i ocho! — zachichotała lubieżnym śmiechem.

Tymczasem z przestworzy spadły wpierw delikatne, potem coraz gorętsze, bardziej namiętne tony muzyki. Rozwirowały się, rozpląsały kolorowymi wstęgami, emanującymi najsłodszymi woniami odurzających zapachów i spływały tak świetlanymi rubinowo-szafirowymi kaskadami—bujnym brzaskiem napawając atmosferę.

Natenczas kobiety ujęły się za ręce i kusząc, czarując pełniami swych wdzięków powiodły dziki tan.

Naraz z widniejących gdzieś w poświacie fiołkowej szczytów gigantów buchnął grzmot surm potężny.

— Pan Zła! — wykrzyknęły chórem wszystkie i zamilkły.

Wówczas zza szpalerów drzew ukazał się wspaniały orszak. Kohorty zakutych w platynowe pancerze czarnych jak węgiel Negrów kroczyły na czele, wybijając stopami miarowy rytm.

Za nimi oliwkowi niewolnicy ciągnęli złoty, tatuowany diamentami i opalami rydwan, w którym na szkarłatnych poduszkach rozkładał się on — Władca Nocy.. Okuty w złocistą zbroicę z emblematami czarnej magii na hełmie, z potężnym dzirytem w dłoni — pysznił się potężnymi węzłami świetnie zbudowanego ciała. Twarz ostrą, zaciętą w trójkąt okalały hebanowe pukle, na ustach zmysłowych, wypukłych czaił się szyderczy półuśmiech. I oczy bezdennie czarne, jak tonie kosmosu ciskały płomienie mocy. Za nim półnagie, bujne czarcice trzymały w dłoniach karminowym ogniem tryskające pochodnie, gnąc się w lubieżnych rytmach.

Robert Ralfson jak oszalały kręcił korbką aparatu.

— 10 dolarów za wiersz — mamrotał pod nosem, skacząc z miejsca na miejsce.

Wtem przerwał.

Schwycił się obiema dłońmi za głowę, potem przysłonił palcami oczy.

— Aaach! — wyszeptał — profesorze! co z nami? Widzisz tam na rydwanie siedzi mój krytyk hrabia M . . .

— Aaa! to trzeba się przedstawić! — powiedział Gren — i począł się przedzierać przez tłum.

Wówczas gdzieś spłynęło 12 uderzeń gongu.

— Pan Zła! Wzywa was! — wytwornie ubrany w ciemną pelerynę o mefistofelowskich rysach gentleman wyrósł spod ziemi.

Skierowali kroki ku wznoszącej się opodal srebrzystej budowli. Hen, na skrajach horyzontu waliło tysiącami pieniących się szałem świateł — „Miasto Szatana". Gigantyczne złomy prostokątnych strzelistych gmachów rozrywały przestwór na strzępy.

A tu cisza, jedynie, pobrzęk muzyki melodyjny szumi wespół z brzęczeniem perlistych fontann.

Weszli — — —

Od razu stłumiły ich kroki atłasowe, barwne, blado-liliowe kobierce. Cała sala poza tym tonęła w lazurowym półcieniu. A w głębi na uwitym z girland i czarnych pereł tronie leżał On — Pan Ciemni.

Gorejące jego oczy wparły się ostrą klingą w twarze przybyszów. Ciała ich przebiegł gwałtowny dreszcz. Stali wyprostowani jak struny, lecz zgnieceni, zniewoleni do cna nakazem wszechpotężnej woli — jakby odurzeni wściekłym obuchem taranu.



Wstał — — — wspaniały, ogromny, zasłaniający swą postacią całą przestrzeń, w czarno-szkarłatnej, przetykanej opalami szacie i patrzał im prosto w oczy — — —

— Wezwałem tu was — głos jego metaliczny, hipnotyzujący, sugestywny rozpływał się po mózgach niczem elektryczny prąd. — Wezwałem tu was, aby wam oznajmić, że jutro o świcie opuścicie mój gród, aby rozpocząć na moją chwałę działalność. I zaznaczam, że jeśli nie wykonacie tego, co wam nakazałem już oświadczyć w „Klasztorze Wiedzy" — czeka was niechybna, okrutna śmierć. A jeśli wywiążecie się z nadanych wam rozkazów godnie — wówczas czeka was zasłużona nagroda. — Skinął rasową, wypielęgnowaną dłonią — patrz profesorze:

Gren ujrzał siebie w rektorskich insygniach, potem mgła przysłoniła mu oczy . . .

— Zaś ty, Robercie Ralfsonie, uzyskasz ciało — zza tronu szatana wysunęła się miedziano-włosa kobieta, niesamowitej, drażniącej, demonicznej urody . . .

Trwał jeszcze parę chwil w wyniosłej pozie rękami czyniąc nad nimi zawiłe magnetyczne pasy.

I od tego momentu zawładnęła nimi wszechmocna wola Pana Ciemni. Potęga, z której więzów, zda się nie było siły, aby mogli się wywikłać. Wszechwładne bowiem działanie hipnozy omotało ich kompletnie, a przepotężne zdolności sugestywne, które rozwinęli w nich mnisi w „Klasztorze Wiedzy" — mogli teraz kierować li tylko ku złu.

Dziwnie odurzeni opuszczali azyl szatana, chociaż w „Ogrodach Rozkoszy" skrzyły się jeszcze miliardy blasków, chociaż niespotykanej piękności kobiety pląsały dalej wśród pachnących kwietnych klombów, a dźwięki muzyki rozełśnień woni rubinowych przesycały przestrzeń.

* * *

Lotnisko stolicy wybite było nieprzeliczonym morzem głów. Niespokojne, zdenerwowane tłumy oczekiwały w naprężeniu powrotu z raidu dookoła świata słynnego lotnika. Jakże niepomierne wszakże było ich zdziwienie, gdy zamiast znanego srebrno-białego aparatu spostrzegły zbliżającą się ku ziemi gigantyczną, obłą połyskującą metalicznie torpedę. Takiej maszyny bowiem nie widział dotąd nikt.

— Marsjanie! — zawołał ktoś z rzeszy i omal nie powstała panika.

Lecz oto kolos-aerostat rolował już wspaniale po gładziźnie lotniska i za moment w otwartych drzwiczkach kabiny ukazały się tak dobrze wszystkim znane postacie prof. Grena i reportera Roberta Ralfsona.

Po tłumach powiało zgrozą.

— Jak to, przecie oni nie żyją . . .

— Witamy! Witamy! — krzyknął wesoło przez wrzawę Gren, wymachując rękami.

Młody dziennikarz Nelget podbiegł z rozwartymi ramionami do Ralfsona:

— Serwus! Jak się masz?! Skąd wracasz takim olbrzymem?!

— Z 4-tego czy 8-go wymiaru, czyli z „Miasta Szatana" — mówił spokojnie tamten, przeszywając go ostrym spojrzeniem.

Nelget naraz spokorniał.

— A ja . . . a ja . . . pisałem . . . — bąkał — że ty już nie żyjesz . . .

— I oczywiście cieszyłeś się z tego!!! — bryznął mu w twarz Ralfson, odgadując telepatycznie jego myśli.

— Robercie! — nieszczery odruch wydarł się z jego ust.

— Nie potrzebujesz się tłumaczyć! Wiem o wszystkim, wszystko! — powiedział dobitnie i wmieszał się w wiwatujący tłum.

A nazajutrz pisma i radiostacje ogłosiły rewelacyjne reportaże o „Mieście Szatana". Ba! nawet wykład prof. Grena w Akademii, który zgromadził najpoważniejsze umysły Europy został przyjęty z niebywałym uznaniem przez stetryczałych mamutów oficjalnej wiedzy.

Zaś sensacyjna i frapująca powieść Roberta Ralfsona pt. „Miasto Szatana" uzyskała za swą świetną kompozycję oraz nadzwyczajny styl, a także nader oryginalną i niespotykaną dotychczas akcję złoty medal Akademii Literatury.

Toteż Gren i Ralf stali się od owej chwili najpopularniejszymi ludźmi w kraju. Wydzierały ich sobie instytuty naukowe, słały zaproszenia najbardziej ekskluzywne kluby oraz salony najwytworniejszej society, za Robertem szalały najelegantsze damy high-lifeu.

Zamieszkiwał obecnie w ultraluksusowych apartamentach, a znając tajne sekrety transplatacji metali — rzucał złoto garściami. Zawsze nienagannie ubrany, zawsze gładki i ujmujący, posługując się mocami hipnotyzmu porywał w swe szpony szczególnie kobiety.

Więc rozbił szczęście małżeńskie księżnej Al . . ., uwiódł młodziutką piękność salonów Mery Z. Za jeden jego uścisk dłoni byłaby oddała pół życia znana ze swego czcigodnego życia multimilionerka Teo L . . .

A prof. Gren nie zaprzestawał swej destrukcyjnej akcji. Jeździł po całej Europie ze swymi odczytami o kulcie Bafometa i siał z katedr uniwersyteckich w dusze młodzieży ziarno zła . . .

Toteż omamiał niewinne dusze, kierując je na drogę występku. Przeto w kołach niedorostków począł zaznaczać się pęd bałwochwalczy wprost uwielbienia złota oraz hołdowanie zdegenerowanej erotyce.

Tak to dzieło Władcy Zła spełniało się . . .

* * *

Raul Nelget wpadł niczym bomba do gabinetu naczelnego redaktora.

— Panie redaktorze, jak się miałem możność dowiedzieć, Robert Ralfson i prof. Gren w tajemniczy sposób zniknęli.

Starszy pan przesunął nerwowo swą delikatną dłonią po wysokim, sklepionym czole.

— A to gorzej — mruknął. — Robert Ralfson bowiem miał mi dać dzisiaj do druku swą powieść.

Potem wyjął z szuflady talię nowiuteńkich tarokowych kart i zaczął klaść kabałę. Bo też od chwili powrotu ich z „Miasta Szatana" — ludzie zaczęli praktykować przeróżne magiczne kulty. I nie oparł się temu nikt — prowadzono seanse wśród członków najwyższego towarzystwa, organizowali je, nawet prości wieśniacy i robotnicy. W ogóle fala demoralizacji szerzyła się w zastraszający sposób. Ludzie przestali wierzyć w Boga, oddając się w zamian za to jakimś tajemniczym praktykom — świątynie stały puste, natomiast przerozmaite sekty i odłamy sekt wiodły prym. A najgorsze, to coraz częstsze pojawianie się wypadków nieznanych psychiatrom umysłowych chorób jak i ponurych, na tle patologicznym zbrodni.

Tak to dzieło Władcy Zła ziszczało się.

* * *

Za szybami kabiny gigantycznej torpedy, przestrzenił się czarodziejski świat. Oto w dole, gdzie okiem sięgnąć ciągnęły się kolosalne urwiska skalnych turni osnutych blaskami płonącego iskrami brylantów śniegu i lodu. Ziejące bezdnią przepaście, wyglądały niby jakieś wąwozy, potwory, dążące gdzieś w otchłanie ziemi.

Torpeda-gigant kołowała nad urwiskami.

— Nie mogę znaleźć, w żaden sposób nie mogę znaleźć — mamrotał starszy pan, badając mapę. — Czekaj Robercie — bulgotał dalej — wezmę powiększające szkła, może będzie mi lepiej!

Młody człowiek pochylił się nad kartą.

— Jest! Jest! doktorze! Kilka stopni na północny-wschód czyli jeszcze jakichś 200 km.

Dotknął odpowiednich tastrów i dźwigni na oświetlonej kolorowymi żarówkami tablicy rozdzielczej.

Tymczasem starszy pan zaczął skandować do tuby mikrofonu:

— Tu „Torpeda Gobi" — zbliżamy się do „Azylu Białych Magów" . . . Prosimy „Klasztor Wiedzy" o wzmocnienie emanacji hipnotycznych . . .

Oczy płonęły mu jakimś czarnym, niedobrym ogniem.

Wnet pośród samego wnętrza gór, pośród otchłannych przepaści i urwistych, skalnych złomów dostrzegli, skrytą w ich głębi cudowną krainę. Oto promieniały wyzłocone słońcem wzgórza, pokryte bujną, soczystą zielenią łąki i pola, między którymi srebrzyły się wstęgi strumyków i rzeczek, zwierciadła modre stawów i jezior.

Torpeda „Gobi" zniżyła lot, szybując nisko, aby wynaleźć dogodne miejsce do lądowania. Wreszcie po kwadransie sunęła już miękko wśród usłanej kwiatami łąki.

Ze stojącego opodal w subtelnym stylu zbudowanego pałacu wyszły odziane w śnieżno-błękitne szaty szlachetnej urody istoty. Kobiety o przepysznych złocistych puklach, o ciałach pastelowej karnacji i delikatnych twarzyczkach, za nimi mężczyźni poważnej, dumnej postawy z utajoną w oczach inteligencją.

— Bądźcie pozdrowieni w Imię Dobra! — witali przybyszów, kreśląc nad nimi zawiłe znaki.

Gren i Robert odpowiedzieli pełnymi dystynkcji ukłonami.

— Zagubiliśmy drogę w tych podniebnych szlakach — tłumaczył Gren wymijająco.

— Siły Dobra was zapewne przywiodły, przyjaciele z ziemi, więc pozostaniecie z nami, a zdobędziecie wiele Wiedzy Piękna..

W źrenicach Roberta zapłonął na moment szyderczy ognik, zdławił go jednak nakazem woli i uśmiechnął się radośnie.

— Dzięki wam składamy Biali Magowie.

Dążyli poprzez otulone fiołkową śrzeżogą pola, które szumiały złocistym zbożem, mijali sady kuszące najbujniejszymi dziwnych barw owocami, przechodzili bok stawów mieniących się szklistą błękitną powłoką, aż z bieli ogromnych, jasno-różowych akacji wyłonił się kryształowo-marmurowy zameczek. Wspaniałe łuki podpierały szafirowe kolumny o misternych, z kości słoniowej cyzelowanych kapitelach.

— Oto wasz dom! — rzekł wyniosły, siwy jak gołąb starzec, poczem wskazał im drogę do wnętrza.

Komnaty promieniały przepychem. Cudowne perłową masą inkrustowane meble, aksamitne, puszyste kobierce zalewała pożoga tonowanej światłości. A zewsząd sączą się wonie — kojące, ciepłe, subtelne. Dziwne jakieś fluidy o lekko tęczowych kolorach emanują ze ścian i posadzek. Doskonały spokój ogarnął ich dusze

— Wiesz Robercie, cudownie tu jest! — zaczął zciszonym głosem Gren, gdy zostali sami.

Na czole dziennikarza pojawiła się poprzeczna brózda. Znać było, że toczy się w nim walka. Bo też o dziwo siły sugestywne Władcy Zła przestały tu nagle działać. I Robert ujrzał przed oczyma duszy całą swą nikczemność, jaką dotąd wyrządził ludziom, poczynał się po prostu brzydzić swoimi postępkami.

— Tak, doktorze! Dziwny w „Azylu Białych Magów" osnuwa duszę mą spokój.

Twarz uczonego rozjaśniła się. Obejrzał się podejrzliwie i stłumionym głosem powiedział:

— I ty, Robercie, masz zamiar ich jeszcze zdradzić?

Natenczas do uszu ich dobiegły atłasowe dźwięki muzyki. Świetliste tony skrzypiec spadały gdzieś spod stropu tęczami melodii, przesycając mózgi, serca czarami dobrotliwego smętku czy tęsknoty.

A za oknami promieniał bajeczny świat. Drzewa uginały się pod kiściami liliowych, lazurowych, różanych kwiatów. Pośród gałęzi nuciły brylantami skrzące się ptaki. I owe tęskne dźwięki skrzypiec drgały w powietrzu. Robert patrzał na tę świetlaną tęczami krainę, gdzie znad gałęzi drzew strzelały tkane klejnotami i szlachetnymi metalami wieżyce pagód, gdzie na wzgórzach łagodnych a lesistych jaśniały kryształowo-marmurowe pałace. A melodie dzwonów srebrzystych niby granie cytr pleniło się w przestrzeni..

Naraz przed nimi stanął siwowłosy starzec.

— Władczyni Nasza pragnie was powitać!

Zgrabnym helikopterem wzbili się w błękity. Maszyna pędziła z błyskawiczną szybkością tak, iż w kilka chwil później lądowali już na okolonym iglicami skalistych turni jeziorze. Cisza tu wisiała upojna i pienia echowe płatków kwietnych szemrały swą pieśń wiotką.

Zaś na tafli turkusowej jeziora pływał lśniący szkarłatem i szafirami Zamek Władczyni. Wchłonęły ich przepojone promienistością różaną kolumnowe krużganki, potem przez amfilady sal oczarował ich oczy wspaniały, pełen egzotycznej

rośliności ogród. Gdzie spojrzeć tam lśniły to ciemno-szkarłatne, to blado-fiołkowe lub miękko-śnieżne puchary kwiatów nad którymi wirowały złoto-skrzydłe motyle. Olbrzymie stare drzewa o soczyście zielonych liściach otaczały uwitą z konwalii i róż altankę.

Robert Ralfson stanął jak oniemiały. W głębokim brokatowo-złocistym bujaku spoczywała nieziemskiej urody kobieta. Wijące się jej pszeniczne pukle opadały na ramiona, cyzelowana niby w drogocennej kamei twarzyczka tchnęła jakimś nie z tej planety blaskiem. Niezgłębione szafirowe oczy patrzały słodko, pogodnie...

— Już od dawna oczekiwałam waszego tu przybycia — głos jej drgał niby melodia dzwonków srebrzystych.

Twarz Roberta spłonęła purpurą.

— Wiem, moi Magowie Światła oznajmili mi, że celem waszego przybycia tutaj — było porwanie mnie.

Młody człowiek pod ciosami tych miękkich słów zachwiał się nieprzytomnie.

— Daruj pani — wyszeptał, korząc się w ukłonie.

— Tak! Byłeś panie chwilowo we władzy Szatana, lecz tu w mojej krainie pod wpływem fluidów dobra — przekształciła się twa dusza... Bowiem już przed milionami lat w dawno zaginionej Lemurii bytowałeś już jako mój nadworny poeta.

W szafirowych oczach zalśnił upojny blask.

Nakreśliła nad głową jego symboliczną kresę.

— Pamiętasz?!

Natychmiast zobaczył jakby w sinej, ciemnawej mgle wybitą złoto-błękitnym adamaszkiem komnatę, gdzie na futrzanej sofie wpółleżąc majaczyła postać złotowłosej kobiety. U stóp jej przybrany w białą togę mężczyzna. Odwrócił zwolna głowę: Robert zachwiał się. Poeta miał rysy twarzy — jego.

Gren stał skulony, zmalały, łysawą jego czaszkę poprzecinały bruzdy, krótka, siwa bródka dygotała lekko.

— Przebacz pani i ja zawiniłem ciężko, składając przysięgę Bafometowi, lecz teraz... — nie dokończył zdania, łzy zalśniły mu w oczach.

Spoglądała na ich pochylone głowy — smutno, ale ze zrozumieniem, odczuciem. Zaczęła znów:

— Siły Zła, nie zwyciężą nigdy, zawsze bowiem nad nimi góruje potęga Stwórcy — i wy właśnie będziecie świadkami nawrócenia... Oto o nocnej porze wyruszymy naszymi dalekobieżnymi bolidami nad „Miasto Szatana" i zobaczycie cud!

Bowiem Dobro jest wieczne!!!

Robert uniósł głowę i wpatrzył się w oczy Władczyni pogodnie, jasno.

— Pani! dzięki ci stokrotne! — ujął jej dłoń, składając na niej pocałunek.

— Proszę was, abyście zostali moimi gośćmi!

Złotowłosa oddała ich w opiekę swego starca.

* * *

A „Miasto Szatana" pławiło się w obłąkańczych orgiach. Przez wspaniałe ogrody pełne klejnotowych kwiatów, przez ulice wybite czarno-purpurowym tłumem, przejeżdżał na kutym w złocie rydwanie „Pan Zła", wraz ze swym przebarwnym orszakiem, wzywając lud do radości. Bo oto dziś nocą miała zostać porwaną „Władczyni Białych Magów" a Dobro miało raz na zawsze przestać istnieć. Więc wiodły tany opętańcze pół nagie, rozpasane bachantki, przy wtórze odurzających, zmysłowych melodii.

I płomieniały ulice i place zalewem karminowych świateł, gorzały nad wieżycami miasta-giganta tysiącramienne gwiazdy płomieni. Gięły się w rytm rozchłestanej muzyki przepyszne ciała szatanic, lubieżne raz po raz wybuchały śmiechy... Lały się alkohole najcięższe, odurzając dusznymi woniami pogrążone w oparach halucynacji mózgi, stwarzały emanacje potworne, które w lot chwytały stacje hipnotyczne i słały w świat, by miazmatami zwyrodniałej erotyki zatruwać ludzkie dusze.

Toteż kult szatana niezwykle począł na naszej planecie święcić triumfy. Ludzkość pławiła się w rozpuście, zatraciwszy wszelkie boskie i człowiecze pierwiastki, oddając się ponurym, wieki średnie przypominającym kultom. Zasię nie spływał już z wieżyc kościelnych dźwięk dzwonów krystaliczny na „Ave Maria", nie wznosiły się dymy kadzideł na chwałę Boga, bo świątynie stały od dawien dawna już pustkami.

I pustka była w sercach ludzkich i zbrodnia tylko rozpięła nad globem swe czarne, mroczne szpony.

* * *

Robert Ralfson snuł się po ogrodach zamku, nasycając się nieziemskim ich pięknem. W duszy jego zaległa już cisza. Nie miotały nim dzikie pożądania, nie żarła gorączka złota, tylko światłość jakowaś niebiańska otuliła jego psychę. Bo oto w sercu jego po raz pierwszy w życiu rozkwitł powiew kwietny uczucia.

— Ukojony już jesteś? — posłyszał za sobą dźwięcznym głosem zadane pytanie.

Obejrzał się. Za nim stała Eloe. Ciężkie sploty jej włosów mieniły się złocistością, bezdenne szafirowe oczy gorzały blaskiem.

Ujął ją delikatnie za ramię.

— Pani! Tyś uczyniła cud przemiany we mnie. Dzięki tobie bowiem poznałem istotę zła.. Objął jej postać czułym wzrokiem.

— Będziesz moim, prawda? Na zawsze! Będziesz wiódł mię światy poetyckich czarów, będziesz tworzył na chwałę obra!

Zapadał zmrok. Fiołkowe cienie rozpięły nad „Ogrodami iszy" swe miękkie skrzydła. W dali jarzyły się rubinowo-lenowymi skrzeniami wieżyczki pałacu.

Ukojenie wonne, pachnące feeriami szkarłatnych melodii iło w kielichach kwiatów.

Szli przytuleni do siebie w mgławą poświatę zmierzchu, wokół nich błyszczały perły rosy.

Eloe podniosła swą złotą główkę, wpatrując się w oczy oberta dogłębnie. I potem wargi ich stopiły się w poblaach upojenia:

— Eloe kocham cię! — spłynął szept.

— Mój na wieki . . .

Spoczęli potem pośród szumiących kolorowych fontann.

— Eloe! — szeptał, otulając ją czule — oto dziś miałem ię porwać, aby oddać cię na pastwę Władcy Zła, ale oczy we przejasne, ku innym drogom zwróciły moje życie.

Dziś dusza moja raduje się szczęściem miłości, dziś światem wszechbytem dla mnie jesteś ty . . .

— Nie dziwne to! Boć tyle, tyle wieków fluidy naszych stności złączone były w Jednię i wiedz, że gdy przebywałeś m w „Mieście Szatana" — wiedziałam o tym, gdy prowaziłeś sprawę zła na ziemi myśl moja już wówczas krążyła okół ciebie.

Lecz teraz zostaniesz przy mnie na wieki, na zawsze — oi Magowie Światła uczynią ciało twe wieczyście młodem za oddanie tu Dobru, będziesz istniał tu przy mnie na ieki . . .

Usta ich spłonęły pocałunkiem.

* * *

Późną nocą do drzwi komnat Władczyni zasłukał Gren. iedy wszedł postać jego prężyła się dumnie, jakby wyolrzymiała, wyrosła.

— Pani, przybyłem do ciebie, aby prosić cię o pozwolenie i kierowania akcją ataku na „Miasto Szatana".

— Idź! Błogosławię cię w Imię Dobra! — królowa Białych Magów złożyła swą kojącą dłoń na czole profesora . . .

* * *

W stukilometrowej odległości od „Miasta Szatana", pośród ezkresów Gobi wylądowały dziwnych kształtów aparaty. V przepastnej czarnej nocy, w wyciu i rzężeniu huraganoego wichru osiadały olbrzymie, podobne do kolosalnych widrów maszyny. Stłumiony warkot ich motorów dudnił ępo w straszną noc.

W płaskiej, maleńkiej kabinie jednej z nich, pochylony ad miernikami i licznikami, wpatrzony w skaczące po tabeach srebrzyste strzałki — tkwił Gren.

— Już! — rzucił rozkaz w tubę mikrofonu. Rytmiczny świst ciął się w wycie orkanu i potężne iglice-cylindry poczęły wiercać się w ziemię. I po chwili zniknęły pod pokładem. Gren z matematyczną ścisłością śledził wskazówki cicho ykających przyrządów.

— Niżej! — cisnął w mikrofon.

Maszyny z przepotężną straszliwą siłą pruły głębiny ziemi. Vierciły dogłębne tunele, rwąc z ogromną szybkością narzód. Bo też maszyny ich pędzone specjalną mocą fal radioych działały świetnie.

— Stop! — zawołał profesor po 3 godzinach jazdy . . . Na apie nawigacyjnej czerwienił się duży punkt — „Miasto Szatana".

* * *

A „Miasto Szatana" pękało kaskadami opętańczych śmiechów. Po ulicach i „Azylach Rozkoszy", w ogrodach i parach — lały się potokami piekielnej mocy napoje, stępiając nózgi.

Pan Zła wiódł rej w orgii, odbywającej się w jego siedzibie. Ubrany w bogate czarno-szkarłatne szaty, czarował rój szaanic błyskotliwością wymowy i uwodzicielskim kunsztem. Otoczony strojną czeredą kobiet o złoto-oliwkowych ciałach, rześwietlających przez granatowe tiule — prowadził tany vyuzdane, tarzając się w rozkoszy.

Naraz jęk przeciągły alarmowych syren wdarł się w dźwięi muzyki. To ludności miasta obwieszczano niebezpieczeństwo. Przeto zamarły nagle tłumy. Trwoga zdławiła gardła. A tymczasem z otchłani podziemi poczęły wybuchać przeaskrawe płomienie światła. Blado-różowe ich pożogi zalały ulice, wnętrza budowli, parki, ogrody.

Wtedy Pan Nocy opamiętał się. Wpadł do kabin obserwacyjnych swych wież-kolosów, miotając wściekłe rozkazy.

— Zdrada! Podła zdrada tych . . . tych . . . psów . . . W nicość obrócę, w pył zetrę . . — Wnet z wież-gigantów lunęły czarne snopy hipnotycznych promieni.

Lecz bój był nierówny. Bowiem natychmiast z toni podziemi bryznął grzmot mocarny a potem miękkie, aksamitne ony melodii wniknęły w ludzkie dusze . . . Od podziemnych wybuchów miasto rozpadało się w gruzy.

I wtenczas stał się cud. Podniecone dotychczas szałem zmysłów rzesze — padły na kolana i wzniosły już od prawieków ku zapomnianemu Bogu modły korne. Zaś zalewy falangi, nasy taśm i wstęg różanych, z których bluzgały ciepliste dźwięki- jakichś anielskich chyba akordów rozświetliły się nad miastem-olbrzymem.

Więc tonęły w ich potokach 500-metrowe walące się budowle-kolosy, i roziskrzyły się w źrenicach pokornych tłumów, rozjaśniały mroki dusz omamami szałów zmysłowych targanych — cudem wiary.

Pan Zła stał na szczycie jednej z najwyższych baszt koloów i patrzył. Złość, nienawiść i pragnienie zemsty szarpały ego duszę.

Ogarnął raz jeszcze wzrokiem miasto i zasię ujrzał kajające się, rozmodlone tłumy, posłyszał bicie dzwonów dźwięczne na chwałę łaski przebaczenia.

Podziemne torpedy burzyły miasto. W głównej dowódczej iedział profesor Gren kierując ją zegarami pod pałac Władcy Zła. Jeszcze moment i z zastraszającym hukiem ostatni wybuch torpedy śmierci profesora Grena położył kres dwom stnieniom: Władcy Zła i profesora Grena.

* * *

I od tego momentu ziemię zawładnęła nowa era. Oto ludzkość nagle porzuciła potworny kult szatana, a dusze człoriecze owionęła światłość.

Zniknęły więc z naszej planety uniesienia rozjątrzonych huci a promienne moce DOBRA rozgorzały w sercach tęczą zlotów . . .

Koniec

SŁOWA PRZEDWIOŚNIA

W kielichu nieba — rozkwitłym olbrzymim chabrze —
słońce jak pszczoła miodem się nasyci, zadrga skrzydłami
i bezkreśnie rozścieli w najszczodrzejszym darze
ciepłozłoty aksamit.
Już wzbiera nowego życia wielkie tchnienie
gdzieś w najgłębszych głębiach, jak w Bożej piersi
i drzewnymi pniami wytryśnie ponad ziemię
leżącą we śnie — — —
Spełni się wówczas największy cud z cudów
i pofrunie w krąg na płatkach skrzydlatych:
nad zwilgłoszare pękate grudy
wybuchną kwiaty
i barwy swoje rozwiną (jak tęczę...)
i wonie swoje rozpylą (jak radość...),
w zielonej — kruchej i nieśmiałej — sukience
do rąk nam wpadną.
Ich życie jest jak miłość krótkie:
zapachną — potem więdną smutnie.
...a mnie się przepięknie złudny miraż śni ten,
że nam symbolem wiecznym będą...
(że ludzkie szczęście jak kwiaty — rozkwitnie!
że smutki ludzkie jak kwiaty — uwiędną!)

M. A. HESSEL

HISTORIA ROMANTYCZNA

Z CYKLU: „NAIWNOŚĆ"

NAPISAŁ PIOTR Z BAJKOWIEC

I.

Historyjka — którą opowiem — jest prosta, nieskomplikowana i jasna, a zainteresuje tylko tych czytelników, którzy choć raz byli w Paryżu.

Dlatego uważam, poniekąd, za zbyteczne, a nawet nudne — opisywanie szczegółów miasta i ogromu wrażeń, jakie wywiera stolica Francji na każdym cudzoziemcu.

Nie będę więc opisywał modrej Sekwany i jej zielonych brzegów, któreście niewątpliwie — wszerz i wzdłuż — wydeptali.

Ani słówkiem nie wspomnę o cudnych winnicach na Montmartre. Nie pisnę nawet o Metro. Zamilknę o reszcie.

Bo i po cóż? Wszystko to znacie niektórzy lepiej ode mnie! Prawda?

Jeśli zaś o czymś wspomnę, to tylko z konieczności i krótko, i tylko o tym, co ma ścisły związek z moim opowiadaniem.

Przypominam więc tylko skromną i schludną kawiarenkę „Pod Sumem", bo stąd bierze swój początek cała akcja.

Gdy po raz pierwszy zawitałem do gwarnej stolicy Francji, miasto tonęło w kwiatach i blaskach lipcowego słońca. Nieznośne upały uniemożliwiały spacery po rozpalonym bruku ulic i każdy kto żyw krył się w cieniu parków, lub spieszył za miasto.

Dla ścisłości raz jeszcze powtarzam: Paryż — druga połowa lipca! W tym czasie — po raz pierwszy — zaprowadzono „Pod Sumem" występy rozmaitych artystów.

Pewnego wieczoru powlokłem się tam z przyjacielem, by zobaczyć młodą Węgierkę, która pięknie grała na gitarze i śpiewała sentymentalne pieśni. Właściwie była obowiązana tylko przez kwadrans śpiewać; lecz zawsze otrzymywała tyle braw, że musiała nieomal każdą piosenkę bisować. Program jej był bardzo urozmaicony: śpiewała, grała i tańczyła.

Śpiewając jedną, ze swych ulubionych piosenek, z refrenem — „Zgubiłam tu serce maleńkie" — miała zwyczaj chodzić między stolikami i — przystając przy tym czy owym gościu — śpiewać jedną zwrotkę tylko dla niego.

Gdy odśpiewała przy naszym stoliku — w podzięce wręczyłem jej nawet wiązankę kwiatów! — podeszła z kolei do samotnego człowieka, siedzącego przy stoliku w rogu pokoju, i uderzyła go lekko po plecach, gdyż siedział do niej tyłem odwrócony.

On — jak mi się zdawało — odwrócił się mimo woli. Śpiewaczka zaś uśmiechnęła się do niego. Nagle jednak zachwiała się i — nadaremnie starając się zachować równowagę — upadła zemdlona na ziemię.

Pan siedzący przy stoliku zerwał się, podniósł ją z ziemi i na rękach wyniósł z lokalu.

Był to wysoki, barczysty mężczyzna, który mimo iż był w cywilnym ubraniu, miał wygląd francuskiego pułkownika. Tak — nawet przysiągłbym, że był to pułkownik.

II.

Każde dziecko domyśliłoby się, niewątpliwie, co zaszło. Zapewne pułkownik, przed kilku laty jako wojskowy attaché był na manewrach na Węgrzech. Tam poznał piękną Węgierkę — potem rychło wyjechał — a ona zakochana straciła jego ślad z oczu.

Ilona — założyłbym się, że takie miała imię — wiedziała, że jej ukochany był paryżaninem i dlatego przyjechała ze swą gitarą do Francji, by go tu odnaleźć. I może właśnie dlatego śpiewając chodziła między stolikami i wpatrywała się w oczy nieomal każdego mężczyzny, jak gdyby szukała drogiego oblicza pułkownika. Aż wreszcie znalazła . . .

Ale to była tylko moja fantazja, która poddała mi wytłumaczenie zemdlenia śpiewaczki, na widok owego mężczyzny.

III.

Po kilku dniach odwiedziłem znów małą kawiarenkę i opowiedziałem kelnerowi swe przypuszczenie, co do powodu zasłabnięcia dziewczyny.

Kelner pokiwał głową:

— To, co pan mówi, nie odpowiada prawdzie. Śpiewaczka — wyjaśniał — nie nazywa się Ilona, tylko Helena, a gość, którego pan mianuje pułkownikiem, nie był jej kochankiem, tylko ojcem. Bogatym właścicielem ziemskim. Jedyną córkę Helenę, o której mowa — wypędził z domu, bo zakochała się na zabój w przystojnym parobczaku ze wsi. Nocami wykradała się na spotkania z ukochanym, i gdy wszelkie perswazje nie pomogły, wtedy ojciec zdecydował się wypędzić ją z domu. Od tego czasu ślad po niej zaginął. Późniejsze poszukiwania czynione ze strony ojca — nie odniosły skutku.

A trzeba dodać, że od chwili odejścia córki zaczęło się ojcu bardzo źle powodzić. Nieszczęście za nieszczęściem spadało na głowę strapionego ojca. Przez kilka lat z kolei nieurodzaje i pomór bydła. Jakoweś przeklęte widmo snuło się i straszyło nocami we dworze. Przelękniona służba uciekała ze dworu, by nigdy już nie wrócić.

Przed trzema miesiącami sprzedał cały swój majątek na licytacji zmuszony ku temu ogromnymi długami. Wreszcie finał rodzinnej tragedii — śmierć córki.

— Śmierć córki? Alboż ona wtedy umarła?

— Tak, na serce — odpowiedział kelner. — Wczoraj właśnie był u nas jej ojciec, opowiedział okropną tragedię swego życia i mocno przygnębiony pytał; od kiedy ona występowała w naszej kawiarni i kto z nią w ostatnich czasach obcował.

IV.

Ale widocznie kelner był też romantykiem jak i ja, ale na swój sposób. Bo w kilka miesięcy po opisanym wypadku, spotkałem „Ilonę" — gdyż jak się okazało żyła — i „pułkownika" w biurze wynajmu mieszkań. Szukali większego mieszkania. Pułkownik nawet od razu mnie poznał.

— Dobrze, że spotykam pana — zwrócił się do mnie — pozwoli pan, że teraz wreszcie podziękuję . . . — Zakłopotany wówczas zapomniałem to uczynić — i zwracając się do żony dodał:

— Pozwolisz Ilonko — (przypuszczenie moje okazało się trafne, na imię jej było naprawdę Ilona) — że przedstawię ci pana, który pierwszy podał szklankę wody, gdy zemdlałaś. Właśnie teraz dopiero zdążyłem podziękować za przysługę.

— Właściwie, to ja powinnam panu podziękować! — uśmiechnęła się Ilona. — Proszę pomyśleć, czy nie jest rzeczą niezwykle romantyczną, gdy lekkie zemdlenie w lokalu kawiarni, na skutek upału — prowadzi do małżeństwa? Pobraliśmy się właśnie przed tygodniem i szukamy mieszkania. Mąż mój jest kierownikiem spółki handlowej i dobrze zarabia. Porzuciłam nawet występy w barze.

Podczas gdy mąż załatwiał sprawę, chwilkę jeszcze rozmawiałem z Iloną. Potem serdecznie pożegnali mnie i wyszli.

V.

Dla wyjaśnienia jednak muszę dodać, że nie uszedł mej uwagi fakt; jak jeden z urzędników, siedzący pod oknem, bacznie obserwował i podsłuchiwał całą rozmowę z Iloną i pułkownikiem. I gdy kolejno przystąpiłem do załatwiania mej sprawy mieszkaniowej — zbliżył się do mnie ów urzędnik i spytał:

— Przepraszam najmocniej, czy ci państwo, z którymi pan rozmawiał, są panu bliżej znajomi?

— Owszem, — ale niezupełnie. Poznałem ich przypadkowo w kawiarni „Pod Sumem". Przystojna i interesująca z nich para. Co? I kto by to przypuszczał, że przypadkowe poznanie się, w bardzo niemiłych okolicznościach w kawiarni, doprowadziło do małżeństwa!

— O, naiwny panie, dałeś się nabrać na czczą gadaninę. Tę parkę małżeńską znam doskonale. Czas jakiś nawet byli moimi sąsiadami, gdy będąc jeszcze uczniem mieszkałem przy rodzicach. On pracował wówczas jako buchalter na folwarku, ona zaś żyła z rodzicami w pobliskim miasteczku. Znam ich jeszcze z czasów narzeczeństwa. Potem pobrali się i — wprost nie do wiary — po trzech miesiącach pożycia małżeńskiego, rozwiedli się. On wyjechał w nieznanym kierunku i ślad po nim zaginął. Niezmiernie się zdziwiłem, zobaczywszy ich znowu razem. Ucieszony sądziłem, że od pana dowiem się bliższych szczegółów ich ponownego spotkania. Ale skoro pan opowiada mi takie banialuki — to nie mamy o czym mówić.

VI.

Zdawałoby się; nic — a jednak tęgi klin. Po powrocie do domu zagłębiłem się w dociekaniach, pragnąc dojść do sedna rzeczy. Lecz niestety — zgubiłem się w całej tej gmatwaninie. Nie potrafiłem tu odgraniczyć fantazji od rzeczywistości, kłamstwa od prawdy. I w końcu przychodzi mi — ze wstydem — przyznać się, że teraz absolutnie nic nie wiem.

Ale w tym wszystkim najgorsze jest to, że nie mogę już cofnąć zapewnień wypowiedzianych na początku, że historia, którą wam opowiem, jest prosta, jasna i nieskomplikowana.

I naprawdę bardzo mnie gnębi; co sobie teraz o mnie pomyślicie?

ZE SCEN I ESTRAD KRAKOWA I WARSZAWY

IX KONCERT SYMFONICZNY

Atmosfera znacznego wewnętrznego podniecenia. Spowodował ją zapewne i częściowo bardzo trafnie zestawiony program (Uwertura Tatry-Żeleńskiego, Chopina—Koncert E-moll, Debussyego poemat symfoniczny — Popołudnie Fauna i Smetany — poemat symfoniczny Wełtawa) i częściowo osoba solisty pianisty Jerzego Gaczka, który debiutował na koncercie symfonicznym, i częściowo — jak zawsze — wyborowa orkiestra symfoniczna Filharmonii Krakowskiej z dyrygentem Erbem na czele.

Tatry Żeleńskiego, chociaż nie błyszczą jaskrawym kolorytem orkiestrowym, wywierają pewien urok przez rytmikę dość oryginalną, tchnienie muzyki tatrzańskiej i pewnego rodzaju elementy dramatyczne. Orkiestra utrafiła doskonale w charakter utworu, dobyła z niego całe piękno, wywołując znaczne wrażenie.

Jerzy Gaczek zaprezentował się jako — głównie technicznie, uderzenie dość miękkie — doskonały pianista a przy tym i dość indywidualny chopenista. Koncert wykonany wyposażył w tchnienie oryginalności odtwórczej. Ujęcie ciekawe i na ogół biorąc osiągające zamierzone cele. Pierwsza część — obydwa tematy zagrane rubato w celu dobycia jak największej śpiewności — brzmiała dość oryginalnie. Finał tejże części, potraktowany indywidualnie — dość wolno — dobrze harmonizował z całością. Romanza akcentowała dyskretnie melancholiczną śpiewność. Koniec jej potraktowany odrębnie wnosił nowe barwy i zespalał się ściśle z Rondem. Rondo, nastręczające znaczną ilość trudności technicznych, brzmiało rytmicznie nienagannie, do czego dołączała się pewna żywość i brawura. Całość wypadła dość oryginalnie i dość dobrze. Toteż oklaskom nie było końca. Na bis odegrany Nokturn Cis-moll zadowolił istotnie nawet najwybredniejszych muzyków.

Nowością do pewnego stopnia było Debussyego Popołudnie Fauna, subtelne i wyrafinowane nastroje muzyczne, snute na podstawie Eklogi poety Mallarmego. Wykonanie nastręcza bardzo wiele trudności. Ale z trudnego zadania orkiestra wywiązała się bez zarzutu. Niezbyt krępowana swoboda pozwalała na naturalne podkreślenie niuansów wszelkiego rodzaju.

Wełtawa Smetany, przepojona gorącym liryzmem i romantyzmem, oparta o charakterystyczne motywy i elementy czeskie, odtworzona z ogromną starannością i wprost z subtelną wnikliwością, wywołała huragan oklasków.

Prof. Zetowski

JUBILEUSZ HANUSZA — „KOBIETA BEZ SKAZY" — „KRÓLEWNA ŚNIEŻKA" — AKTUALIA

W niedzielę dnia 5 marca br. odbył się w Warszawie poranek jubileuszowy popularnego piosenkarza i parodysty Karola Hanusza, z okazji 30-lecia pracy artystycznej. W udanym poranku udział wzięło trzydzieści najpopularniejszych gwiazd i gwiazdorów Warszawy.

W przerwie programu udaje się nam „złapać" sympatycznego Jubilata i uzyskać z nim chwilę rozmowy.

— Przepraszam, że jestem taki „zaganiany" — mówi Karol Hanusz — ale musi pan wybaczyć, staram się, aby wszystko wypadło jak najlepiej, żeby na spektaklu nie było żadnych niedociągnięć. Taki już jestem od najmłodszych lat. Dyr. Rygier, pod którego kierownictwem debiutowałem w Krakowie w dramacie nauczył mnie, że na scenie wszystko zapięte być musi na ostatni guzik.

— Jak długo grał pan w dramacie?

— Przeszło dwa lata. Następnie przenoszę się do operetki (36 główniejszych ról), potem zaś wstępuję do rewii w Warszawie do popularnego w swoim czasie „Mirażu". Bo przyznać się muszę, że praca w kabarecie literackim najbardziej mi odpowiada. „Czarny Kot", „Qui pro quo", „Perskie oko", „Morskie oko", „Cyrulik", „Banda" itp. to dalsze etapy mej pracy w rewii.

— O ile się nie mylę występował pan również w filmie?

— Tak. W roku 1931 zostałem zaangażowany jako pierwszy z polskich aktorów do filmu dźwiękowego pt. „Rewia Hollywodu". Następnie występowałem przez dłuższy czas we Francji z H. Ordonówną. Jeśli chodzi o moją pracę w czasie tej wojny to występuję przede wszystkim w kawiarniach chociaż od sceny również nie stronię.



KAROL HANUSZ

popularny piosenkarz i parodysta obchodził w tych dniach 30-lecie pracy artystycznej.

Fot: Śmigacz

Kończąc rozmowę z Jubilatem życzę mu długich jeszcze lat pracy piosenkarskiej, którą tak bardzo ukochał.

*

Duże zainteresowanie w sferach artystycznych Warszawy wywołała wiadomość o wystawieniu w teatrze „Nowości" przez Stefana Bystrzyńskiego sztuki G. Zapolskiej „Kobieta bez skazy". S. Bystrzyński — aktor o dużej kulturze scenicznej — próbuje swych sił jako reżyser w sztuce, w której przed laty zabłysnął jego talent.

Sztuka, sądząc z prób, zagrana zostanie i wystawiona pierwszorzędnie. Zespół przedstawia się następująco: w roli tytułowej zobaczymy Hannę Chodakowską dalej M. Gołaszewską, H. Ochalską, J. Liedtkego, Wl. Fabisiaka i młodego nader utalentowanego aktora S. Strzałkowskiego.

Premiera, która odbędzie się w najbliższych dniach oczekiwana jest z dużą niecierpliwością.

*

W teatrzyku „Miraż", E. Strycki wystawił piękną znaną z filmu baśń p. t. „Królewna Śnieżka". Przedstawienie cieszyło się dużym powodzeniem nie tylko dzieci lecz także i starszych, w czym duża zasługa zespołu wykonawców, z których na czoło wysuwają się: H. Jeleniewska (rola tytułowa), St. Gajewska (Gburek), Wl. Fabisiak (pyszny kucharz!), M. Nawrocki (Mędrek) i młody, zdolny J. Burakowski (Nietoperz).

Ładne i barwne dekoracje namalował E. Marszałek.

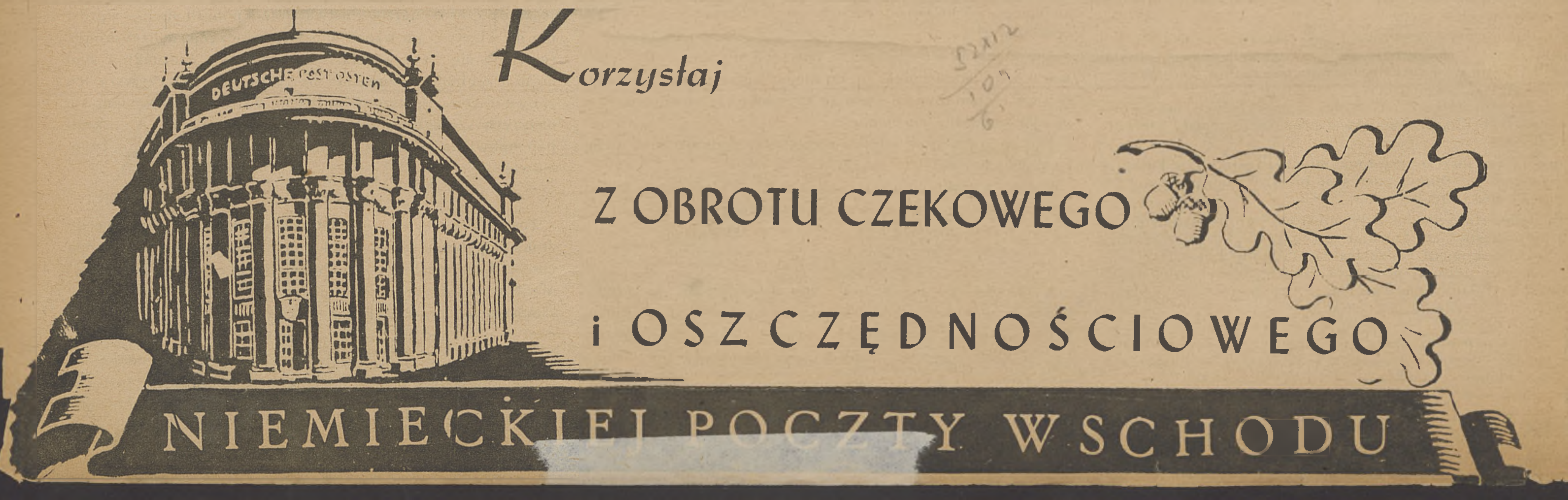
*

Teatr „Maska" gra w dalszym ciągu z niesłabnącym powodzeniem komedię muzyczną „Dama od Maxima" z Niną Wilińską w roli tytułowej. Dalsza obsada przedstawia się następująco: M. Mirska, N. Czerska, W. Orzechowska, St. Chmielewski, W. Borowy, W. Zdzitowiecki, E. Czajkowski i inni. Tańczy para baletowa H. Lewandowska i K. Ostrowski.

Do „Miniatur" tłumy publiczności ściąga klasyczna komedia Aleksandra Fredry „Mąż i żona". Aktorsko i reżysersko sztuka na wysokim poziomie. Nazwiska wykonawców: J. Piaskowska, L. Wysocka, J. Śliwiński i A. Szalawski mówią same za siebie. Muzyka przystosowana do epoki: J. Markowskiego.

Zygmunt Bakuła

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



KĄCIK SZACHOWY NR 7

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

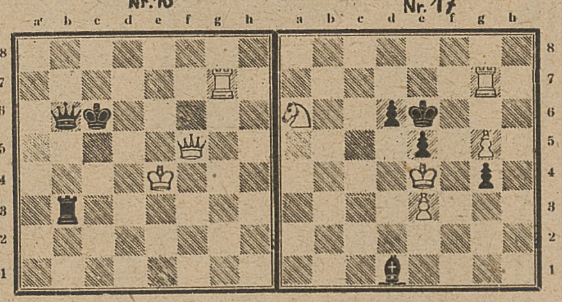
5. Mat

Mat jest to szach, od którego nie można się obronić i który jest końcem partii. Jeśli król, któremu dano szacha, nie może się obronić w żaden z trzech wymienionych sposobów — jest w macie, a partner króla zamatowanego przegrywa partię. Pozycja, w której król dostał szacha, od którego nie może się obronić, nazywa się pozycją lub siatka matową. Mamy pozycję diagramu Nr 16.

Jeśli białe są na ruchu mogą one matować przeciwnika, idąc hetmanem Hf5—d5, ponieważ król nie może się obronić w żaden sposób.

W pozycji diagramu Nr 17 (patrz poniżej) mogą białe na ruchu matować króla czarnego: 1. Sa6—c7 (operujemy już notacją, do której Czytelnicy uczący się szachów powinni się przyzwyczaić), jeśliby zaś w tej samej pozycji (diagram Nr 17) były czarne na ruchu mogłyby zamatować przeciwnika 1. Gd1—c2. Zapowiedz mata i niespełnienie go bezpośrednio wzgl. w zapowiedzianej ilości ruchów nie ma żadnych następstw.

Nr. 16 Nr. 17



6. Wyrażenia techniczne

Zamiana (lub wymiana) jest wtedy, gdy bijemy taką sama figurę, jak nasza, a przeciwnik odbija. W tym sensie mówi się o wymianie pionów, skoczków, gońców, wież, hetmanów.

Ofiara (poświęcenie) jest wtedy, gdy dla jakiegoś celu (korzyści pozycyjnych, czy na dalszym planie stojących materialnych) poświęcamy jakąś bierkę (piona, czy figurę).

Piony podwójne, potrójne są to piony jednego obozu, które się znajdują po 2, wzgl. 3 na jednej linii pionowej, np. a4, a5, a6.

Wieczny szach omówiliśmy poprzednio już w rozdziale 6 o nierozegranej.

Pion odosobniony (izolowany) jest to taki pion, którego inny pion nie może bronić, np. na linii e jest pion e4, a na liniach sąsiadujących d i f nie ma żadnego piona tej barwy.

Pion przyzostały jest to pion niebroniony przez inne piony tego samego obozu, któremu przeszkadza w postępie naprzód pion przeciwnika. Np.: Białe piony: d4, e3, na polu f4 jest pion czarny. Pion e3 jest przyzostałym, gdyż przeszkadza mu w pochodzie naprzód pion f4.

Piony złączone są wtedy, gdy stoją tak, że jeden broni drugiego. Np. białe piony: e4, f5, g6.

Pion wolny jest to taki pion, który na tej samej linii pionowej, na której się znajduje nie ma innego piona.

Piony środkowe są to piony na linii d i e.

Pod biciem (En prise) jest bierka wtedy, gdy ją może inna bierka obcego obozu zabić.

Opozycja jest to pewna określona pozycja króla w stosunku do króla przeciwnika, która będzie szczegółowo wyjaśniona przy dziale końcówek.

Mat zduszony (erstickte Mat, mat etouffe) jest to mat skoczkiem dany królowi, któremu zamknęły możliwości odejścia inne bierki tegoż obozu.

Widełki są wtedy, gdy pion atakuje równocześnie 2 figury przeciwnika. Np.: Pion biały stoi na d5, a na polu c6 jest skoczek czarny i na polu e6 goniec czarny.

Gambit (z włoskiego dare il gambetto tj. podstawić nogę) jest oznaczeniem takiego momentu gry w otwarciu, gdy poświęca się dla jakiegoś celu (rozwoju, czy ataku) bierkę.

Figury lekkie są: skoczki i gońce.

Figury ciężkie są: wieże i hetmany.

Mat umówiony polega na tym, że jeden z grających umawia się z drugim, że zamatuje go na pewnym polu, lub oznaczoną bierka.

Mat zapowiedziany jest wtedy, gdy jeden z grających zapowiada mata w pewnej ilości ruchów.

Posunięcie musowe jest to takie posunięcie, które jest narzucone okolicznościami przez przeciwnika.

Jakość (kwalitas) jest to oddanie skoczka lub gońca za wieżę. Ten kto zyskał wieżę za S lub G zdobył jakość, przeciwnik stracił jakość.

Król ogołocony (entblößter König, roi depouille) jest wtedy, gdy został sam bez żadnej innej bierki swego koloru.

Tempo jest określeniem czasu na rozwinięcie sił bojowych na szachownicy.

Poprawiam (j'adoube) omówimy przy prawid'ach gry.

Gra z wyrównaniem (for, przeddatek) jest to taka gra, gdy jeden partner daje drugiemu wyrównanie (for, przeddatek) czy w formie korzyści materialnej, czy innej (np. białe przed początkiem gry zdejmują z szachownicy jakąś bierkę).

Wyrównanie gry jest określeniem na oznaczenie, że obie partie (białych i czarnych) stoją równo.

Przewaga jest określeniem na to, że jeden z partnerów stoi lepiej, czy pod względem materialnym, czy pozycyjnym.

CZĘŚĆ OGÓLNA

Studium Nr 3

K. A. L. Kubbel („Rigasche Rundschau" 1915)
Czarne: Kd8, Ha6, piony: a7, c4, e7, h7. (6)
Białe: Kg1, Gg4, Sd7, piony: a5, c3, e4, g5. (7)
Białe zaczynaja i wygrywają.

Rozwiązanie problemu Nr 2 (Wróbel):

1. H—g3! I. 1. . . . S—c5 2. S—c6 i 3.×.
II. 1. . . . H—d8 2. H—g8 i 3.×.
III. 1. . . . H×e5 2. H×e5 i 3.×.
IV. 1. . . . dow. 2. H×g5 i 3.×.

Partia Nr. 5

Białe: E. Pitzenbauer — Czarne: H. Grob
z turn. koresp. w Szwajcarii 1942.
Hiszpańska

1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 Sb8—c6
3. Gf1—b5 Gf8—c5 [1])
4. c2—c3 Sg8—e7? [2])
5. 0—0 Se7—g6
6. d2—d4 e5×d4
7. c3×d4 Gc5—b6
8. d4—d5 Sc6—e5
9. Sf3×e5 Sg6×e5
10. Gc1—f4 Hd8—e7? [3])
11. Hd1—h5 Se5—g6
12. Gf4—g3 0—0 [4])
13. d5—d6! He7—d8 [5])
14. Kg1—h1 c7—c6
15. Gb5—d3 Gb6—d4
16. Sb1—c3 b7—b5
17. Sc3—e2 Hd8—b6 [6])
18. f2—f4 Gc8—b7
19. f4—f5 Sg6—h8 [7])
20. e4—e5 f7—f6
21. e5—e6 c6—c5
22. Se2×d4 c5—c4!
23. Wf1—f4 c4×d3
24. Wf4—h4 h7—h6
25. Wh4—g4 [8]) Kg8—h7
26. e6×d7 Wf8—g8
27. Sd4—e6 Hb6—c6 [9])
28. Gg3—f4 Hc6×d7
29. Gf4×h6 Gb7×g2+ [10])
30. Kh1—g1! Hd7—e8
31. Se6—f8+! [11]) He8×f8
32. Gh6—g7 mat

UWAGI:

[1]) Obrona Cordela, która do dziś dnia nie jest wyjaśniona, na to teoria poleca 4. 0—0 jako najlepsze.
[2]) 4 . . . H—e7 wchodziło w rachubę. Skoczek powinien być rozwinięty na f6.
[3]) 10 . . . S—g6!
[4]) Aby móc grać d6, po czym czarne oswobodziłyby się. Białe znajdują świetne kontynuowanie gry.
[5]) Jeśli 13 . . . c×d6 to 14. H—d5!
[6]) Słabe byłoby 17 . . . G×b2 z powodu 18. W—b1 i G czarny nie miałby dobrych pól odwrotu, np.: 18 . . . G—f6 19. e5 G—h4? 20. G×g6 z zyskiem figury.
[7]) 19 . . . S—e5? 20. S×d4 H×d4 21. f6 S×d3 (21 . . . H×d3 22. G×e5!) 22. H—g5 g6 23. H—h6! i wygrywa.
[8]) Grozi H×h6.
[9]) Grozi H×g2 mat.
[10]) 29 . . . g×h6? H×h6+ po czym W—h4 mat.
[11]) Piękna kombinacja. Wygrywa także 31. W—g6 G—f3 32. G×g7+ G×h5 33. W—h6 mat.

Hrabia Bobby udał się raz do restauracji. Gdy zajął miejsce przy stoliku, kelner podchodzi do niego i mówi:

— Mam kwaśne nereczki, miękki móżdżek i pół płucek.

— Dziwne, niezwykle dziwne — mruczy hrabia Bobby, nie mogąc wyjść z podziwu, — prawie takie same symptony jak ja.

*

Bił co dnia swoją żonkę zazdrosny mąż młody,
Ona nic, w biciu widząc miłości dowody —
A gdy przestał, dziś ona na nim łamie kije,
A za co? Za to właśnie, że on jej nie bije.

*

Na przyjęciu imieninowym popisuje się córeczka gospodarzy śpiewem. Śpiew był marny i potrawy również.

— Czy pan śpiewa? — zapytuje pani domu jednego z gości.

— Nie — odpowiada tenże — to tylko mi tak burczy w brzuchu.

*

Właściciel małej restauracyjki przepraszając swych stałych gości za zbyt powolną obsługę, mówi:

— Państwo wybaczą, że obsługa trochę szwankuje, ale właśnie dziś moja prawa ręka złamała lewą nogę.

*

Pies Henryka zginął. Ponieważ Henryk był bardzo bogatym i bardzo przywiązanym do psa, dał do jednej z gazet ogłoszenie, że wypłaci 5 tysięcy złotych nagrody temu, kto znajdzie jego psa.

Po kilku dniach telefonuje Henryk do dziennika i żąda połączenia z oddziałem ogłoszeń.

— Nikogo nie ma — odpowiada mu telefonistka.

— Proszę mnie połączyć wobec tego z redakcją.

— Tam również nie ma nikogo.

— Co, do licha, czy wszyscy mają urlop?! — woła zniecierpliwiony Henryk.

— Nie, proszę pana, tylko wszyscy udali się na poszukiwanie pańskiego psa.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Dlaczego jesteś taki przygnębiony?

— Ot kłopoty domowe.

— Cóż takiego?

— Mam młodą żonę i ta mi ciągle choruje.

— Mój drogi, to moje położenie jest stokroć gorsze; ja mam starą żonę i ta jest ciągle zdrowa.

*

— Bój się pan Boga! . . . Pan romansuje z własną kucharką!?

— Muszę panie, dla żony. W ten sposób zapobiegam temu, że służąca nie ma wojaka . . . a moja żona tego by nie ścierpiała.

*

Właścicielka mieszkania do sublokatora:

— I od razu muszę panu zaznaczyć, że nie ścierpię, by moich lokatorów odwiedzały kobiety.

— A mężczyźni mogą przychodzić?

— Oczywiście. Przeciw temu nie mam żadnych zastrzeżeń.

— Dobrze, w takim razie moja narzeczona wynajmie ten pokój.

*

— Jaki piękny metaliczny głos posiada Karol.

— Tak, ale niestety, jest to jedyny metal, który posiada.

*

— Stasiu — mówi pan Zygmunt — możesz mi pogratulować, gdyż twoja siostra obiecała mnie poślubić.

— Och — odzywa się całkiem obojętnie 10-letni Stasio — nie musi pan jej słów brać zbyt dosłownie, ona już to nieraz obiecywała różnym bubkom.

*

— Nie można wobec mężczyzn być zbyt uprzejmym. Zawsze należy się do nich odnosić z dużą rezerwą. Mój mąż musiał się aż pięć razy oświadczyć, zanim zgodziłam się zostać jego żoną.

— Naprawdę? A czemu tamtych czworo dziewcząt dało mu kosza?

*

Pani Anna wyjechała na jakiś czas z domu. Po powrocie zastała jedynie puste ściany. Wezwany komisarz policji zapytuje ją:

— Czy ma pani na kogoś podejrzenie?

— Nie, absolutnie, nie, jedynie tylko gdy wchodziłam do bramy przypominam sobie, że mój sublokator pożegnał się ze mną i odjechał z wyładowanym wozem meblowym.

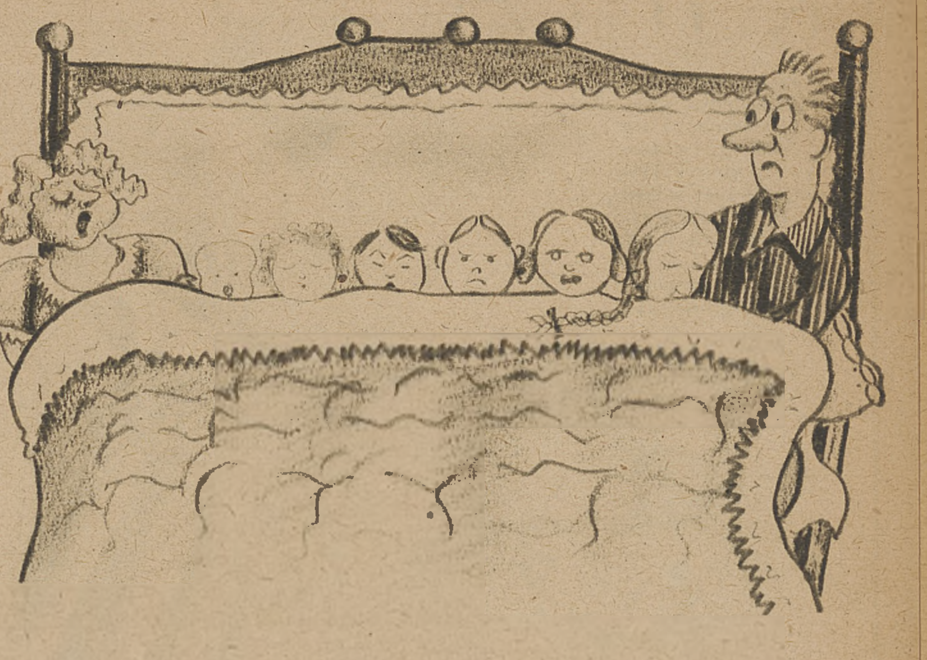
Na prawo:

W SZPITALU

Bardzo cię przepraszam, mamusiu, ale ja się pomyliłam, to jednak nie była ślepa kiszka...

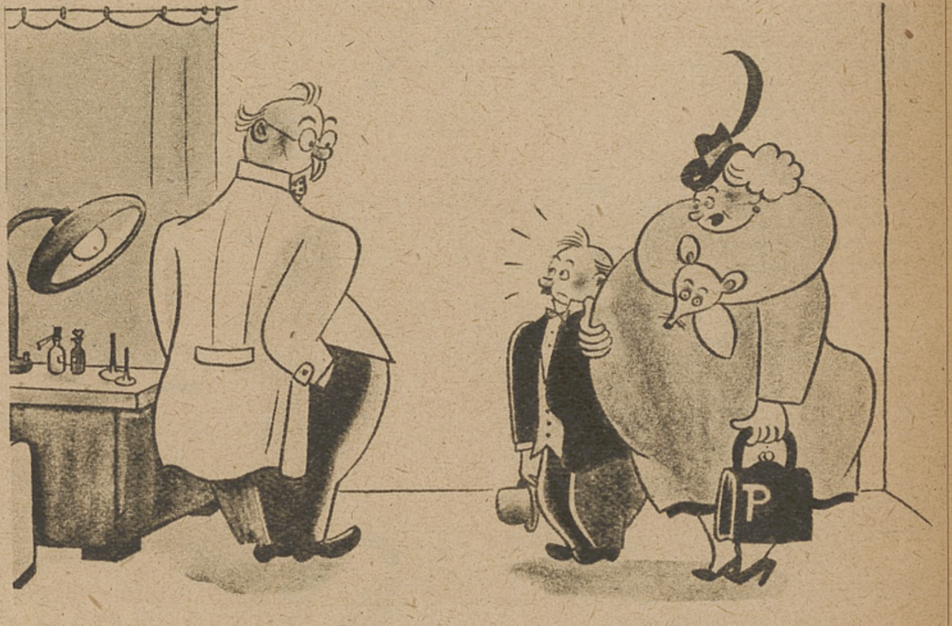
Rys: Antze

KĄCIK KARYKATURZYSTY



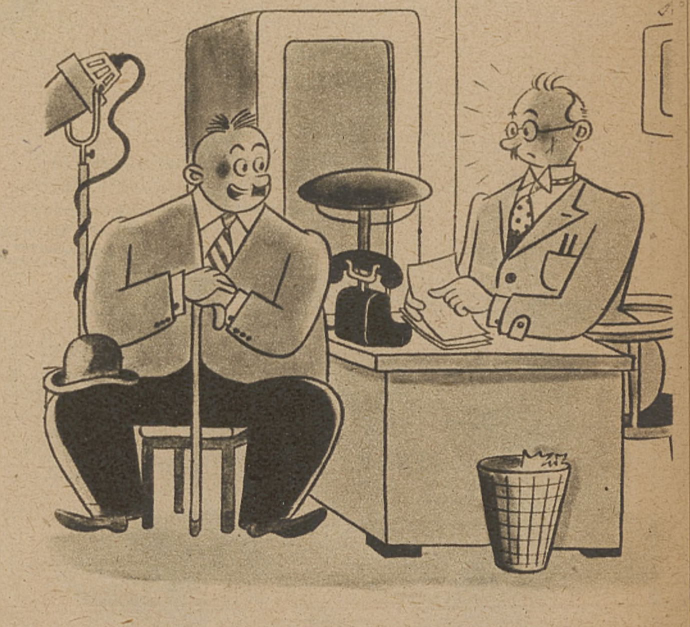
— Im dłużej jesteśmy małżeństwem, to nasze wspólne pożycie, zamiast nas zbliżać do siebie coraz bardziej oddala!...

Rys. Tadeusz Lubka — Kraków



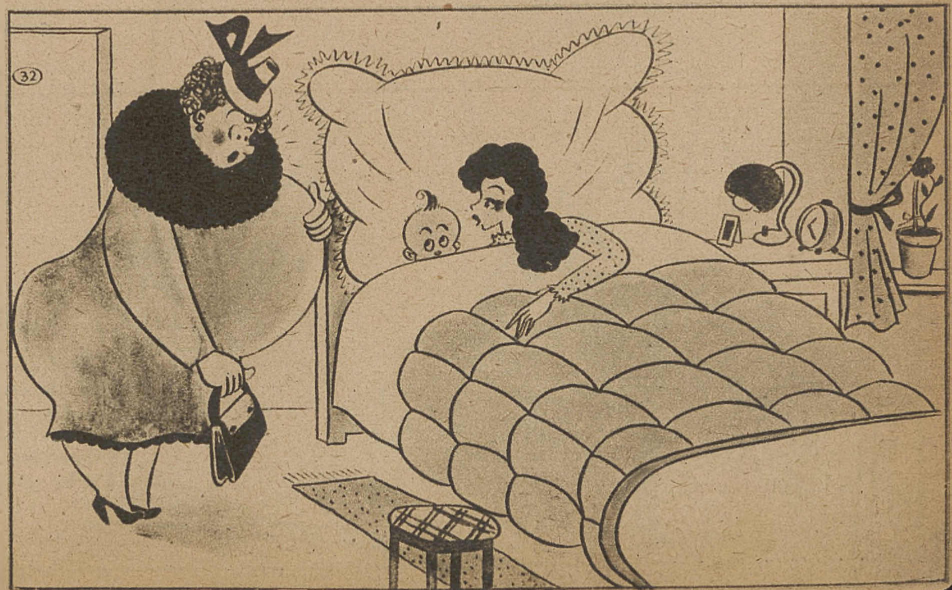
— Panie doktorze, przyprowadziłam mego męża, gdyż wydaje mi się on nie całkiem normalnym: od dwóch tygodni wyobraża sobie, iż jest panem w domu!...

Wiener Illustrierte



Doktór: — Nigdy nie przypuszczałem nawet, że pan wyzdrowieje.
Pacjent: — A widzi pan, wobec mej natury nawet wiedza lekarska okazała się bezsilną...

Wiener Illustrierte



KWIATY MODY

Na prawo: Bardzo oryginalna sukienka sportowa, składająca się z plisowanego dołem jerseya i spodniczki kloszowej zebranej w fałdy z przodu. Całe przybranie składa się jedynie z guzików naszytych wzdłuż rękawów i z boku spódniczki.



Poniżej: Elegancka sukienka sportowa, skombinowana w dwóch odcieniach jasno i ciemnopopielatym, przyozdobiona szerokim stębnowanym paskiem i kieszonką stanowiącą oryginalne zakończenie kamizelkowej wkładki na przodzie.





NOWOŚCI DLA PAŃ



Na prawo: Jasno-popielaty sportowy kostium wełniany, przybrany dużymi nakładanymi kieszeniami i bordiurą o bardzo efektownym zestawieniu barw: zielono-pomarańczowo-żółtym.

Fot: Eurofot Transozean

Powyżej: Bardzo szykowna, a zarazem pełna prostoty sukienka wełniana pepitko kombinowana z czarnym kolorem.



Na lewo: Twarzowy komplecik ze sztucznego jedwabiu. Czarna spódniczka, szalowa bluzeczka o żywej, czerwonej barwie i płaszcz w czarny deseń na białym tle.

Poniżej na lewo: Pojedyńcza brązowa w zielone pasy sukienka o trzyćwierciowych rękawach z mankietami, marszczona z przodu.



Na prawo: Efektowna piaskowego koloru sukienka popołudniowa z wykładanym kołnierzem, przybrana zielonymi plisami.

Poniżej: Młodociana bluzeczka z białego lawable, ozdobiona pliseczkami, delikatnym ręcznym haftem i koronkami.





Na lewo: Sukienka z żółtego jedwabiu sztucznego. Spódniczka lekko marszczona. Bluzka z wykładanym kołnierzykiem zapinana z przodu na dwa rzędy guzików.



Powyżej: Szykowna beige sukienka o fałdach z przodu suto zebranych. Zdobi ją szeroki pasek stębnowany z tej samej materii i stębnowana również wkładka kamizelkowa.



Na lewo: Komplet wełniany złożony z czarnej spódniczki, bluzki bez kołnierzyka, zapinanej z przodu na duże ozdobne guziki i luźnego płaszcza w delikatną niebiesko-czerwoną kratę.